



Mag. St. Dr.

P





25994

Featr. 1915.

W roku 1915
TRYUMF
ŁASKAWOŚCI
KOMEDYA

1892. XII. 10
W TRZECH
AKTACH
DLA TEATRU WARSZAWSKIEGO
NAPISANA



Teatr 1915
PRZEZ
X. A. T. MICHNIEWSKIEGO P. S.

ROKU 1775.

OSOBY

DOBRZECKI. *Starosta cnotliński; Stryi
y Opiekun Karola.*

KAROL. *Synowiec Jego.*

PLACYLLA. *Amancka Karola.*

WIKTORIA. *Wychowanka w domu
Dobrzeckiego.*

MAGDUSIA. *Służąca Placylli.*

WESOŁOWSKI. *Służący Karola.*

P. PULS. *Doktor.*

KUBANSKI. *Jurysta.*

CHWYTALSKI. *Wachmistrz.*

ZOLNIERZE.

LOKAJE.

25994. I.

SCENA.

W WARSZAWIE

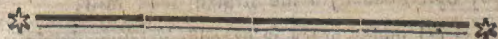


DO

KROLA

POLSKIEGO

STANISŁAWA AUGUSTA



KROLU! Twoja Łaskawość i dobroć
wrodzona,
Z ktorey świetności Twoja nabiera
Korona:

Czyni mi tę nadzieję, że pozwolisz Panie
Iż Tryumf Łaskawości przed Tronem twym stanie.

Nie może być ta cnota lepiej zalecona,
Jak gdy twej Łaskawości będzie poręczona.
Wymyślona Intryga mniey ma mocy w Tobie
Istotę zaś tej cnoty Narod widzi w Tobie.

Każdy baczy w Twym sercu dobroć wkorzenioną,
Ni szturmem przeciwności, ni częściami zmienioną:
Łaskawość Twoja wszystko dla wszystkich się stawia.
Władzą, dajesz Poddanym: a nie, sercom Prawa.
W niej

W niey każdy wyczytuie: Jak to Człowiek rzadki
Ten co wyższy nad mowy wszelkie y przypadki.
Bogdayby za prawidło Twoię dobroć brano!
Więceyby w świecie Panów Łaskawych widziano:

Więcey Tryumfów z ludzkich sercby odnosili
Gdyby byli Poddanym nie straszni lecz mili!
Ten był cel moley pracy w przedsięwziętym dziele.
W którym dobroć wyśławiam, a złość ganę śmiecie.

Stawiam w prawdziwych farbách dwojakim obrazem
Łaskawość przeciw *złości*, *Cnotę* z *zbrodnią* razem.
Cnotę stawę by każdy wstępował w jej ślady.
A na śmiech stawiam ludzkie przywary y wady.

Ty KROLU Nayłaskawszy, ktorego przymioty
Warteby poważniejszy (niżli ta) roboty,
Nie racz gardzić Ofiarą moley lichy pracy;
Z ktorey cnotliwi mogą korzystać Polacy.



TRYUMF
ŁASKAWOŚCI
KOMEDYA.

AKT I.
SCENA PIERWSZA.
WIKTORJA, DOBRZECKI Stary.

DOBRZECKI.

Nie trzeba tracić nadziei kochana
Wiktoryo!... Synowiec mój
młody zwyczajnie, unosi się za
namiętnościami swemi: przyjdzie al-
boś ten czas, że się y sam na sobie y
na tobie pozna.

A

DO-

WIKTORYA.

Jużby do tych czas powinno to było nastąpić przy tylu rozumnych przestro-
gach W. P. D. . . . Kiedy iednak w Pa-
nū Karolu nie widać y znaku poprawy
dotąd, próżno podobno spodziewać się
iey kiedy.

DOBRZECKI.

Ja zaś spodziewam się tego.

WIKTORYA.

A ia cale nie. . . Człowiek rozhuka-
ne mając namiętności: nawykły dłu-
go do złego: a nawet nawykły słuchać
dobrych przestro-
g bez najmnieyszey
poprawy swey złości: chyba jakim cu-
dem poprawić się może.

DOBRZECKI.

Z tym wszyscy takich cudow trafia
się barzo wiele na świecie, y ia tego
cudu dokażę choćem nie jest Święty.

WIKTORYA.

Co? . . . W. P. Dobr: dokażesz tego
żebyś swego synowca poprawił?

DOBRZECKI.

Ja.

WI-

WIKTORYA.

Może to być . . . Ale niewiem czyli
tylko. . .

DOBRZECKI.

Moia Wiktorfiu. . . Złącz tylko swo-
ie starania z memi: obaczysz, że Karol
takim będzie, iakim ia go mieć chcę.

WIKTORYA.

Jakież mam czynić starania? Naucz
mnie W. P. Dobr: bo prawdziwie, ile do-
tąd, zdaie mi się, że wszystko czyniła
co mi rozum y honor kazał.

DOBRZECKI.

Prawda. . . Sam to uważałem że
czegom tylko wyciągał po tobie . . .
co mi się zdawało być użyteczne do po-
prawy synowca mego, wszystko to czy-
niła. . . Chcę iednak ieszcze żebyś mu
dała to poznać, że y ty życzysz sobie
tegoż samego co y ia.

WIKTORYA.

Czegoż to Mci Dobrodzieiu?

DOBRZECKI.

Oto . . . zawarcia z nim wieczney
przyjaźni.

A z

WI-

WIKTORYA.

Przyjaźni?

DOBRZECKI.

Tak iest.

WIKTORYA.

A mój Mci Dobrodzieiu, wszakże ja z nim nigdy żadney nie przyjaźni nie miałam.

DOBRZECKI.

Oh nie rozumiesz mię moje dziecko . . . ja wieczną przyjaźnią nazywam Małżeństwo . . . Życzę sobie tedy ażeby was przyjaźń tak złączyła żeby on ci był mężem, a ty, iemu Żoną.

WIKTORYA.

(*Mieszając się.*)

Ja Pana Pawła żoną?

DOBRZECKI.

Nie inaczej . . . Ja żądam . . . powiedziałem to już nie raz synowcowi . . . i chcę żebyś i ty nie sprzeciwiała się temu.

WIKTORYA.

Ah zacny Panie . . . czyliż już y tak
nie

nie nazbyt wygorowały łaski W. P.
Dobr: dla mnie . . . Wychowałeś mię w swym domu właśnie iak swą corkę . . . Wyedukowałeś mię z tak wielkim nakładem . . . Y ieszczeż ci tego trzeba żebyś mi za meza dawał tak bogatego synowca iaki iest Pan Karol.

DOBRZECKI.

(*Sciskając ją.*)

Cnotliwa Wiktoryo! . . . wartas tego żebym ci nawet całą moję oddał fortunę . . . Synowiec mój nie wart iey dzisłay bo zaślepiony y zepsowany swemi passyami: . . . ale będzie iey zapewne wart, . . . będzie . . . gdy będzie miał ciebie . . . (*na stronie*) O, gdyby on miał aby czastkę tey cnoty.

WIKTORYA.

Wć Pan Dobr: , mię zawstydzasz!.

DOBRZECKI.

Zawsze się cnota wstydzi, gdy ją w oczy chwala.

WIKTORYA.

Mnie zaś to zawstydzają, że mi WP.
Dobr:

Dobr: to przyznaiesz czego w sobie nie znam.

DOBRZECKI.

Tym barzief wartaś pochwały: że sobie nie przyznaiesz tey cnoty którą wszyscy widzą człowiek próżny y omamiony własną miłością śadzi się być cnotliwym choć jest cały złożony z niecnot, albo tylko pomalowany cnotami Człowiek zaś tak prawdziwie cnotliwy iak ty Rozumie o sobie zawsze tak iako y ty.

WIKTORJA.

Ah Mci Dobr:

DOBRZECKI.

(*Biorąc ją za rękę.*)

Czy wiesz ty o tym Wiktorju . . . y czy wierzysz temu że ci prawdziwie przychylny . . . y że moje zamyśły, moje mowy, moje wszystkie sprawy nigdy do tego nie dążą ażebym cię zdradził.

WIKTORJA.

Krzywdę mi WP. Dobr: czynisz tym swoim

swoim pytaniem wierzyłam y widziałam . . . wierzę y widzę żeś mi jest barzief niż oycem.

DOBRZECKI.

Więc wierz y temu, co o tobie mówię. . . Jesteś cnotliwa, a synowiec mój zbacza z drogi cnoty . . . Nie mogę tedy lepiej radzić o nim iak złączyć go z tobą Jam już stary y wkrótce spodziewam się zakończyć me życie. . . kocham mego synowca. . . mogę go więc zostawić na tym świecie tak, iak on życie dzisiaj?

WIKTORJA.

Ale Mci Dob.

DOBRZECKI.

Poczekay . . . niech ci wypowiem co myślę Widzisz moja Panno, że mój synowiec utopił się prawie w Placylli . . . Znaś co to za kobieta. . . gdyby była cnotliwą nie byłbym przeciwny amorom synowca. (*na stronie.*) Ale cóż robić kiedy to miłośnica, złośnica!

WI-

WIKTORYA.

Mci Dobrodzieiu; iest to iednak
grzeczna Dama.

DOBRZECKI.

Grzeczna?... (na stronie.) Prawda...
a co większa dla wszystkich.

WIKTORYA.

Iest uczona, rozumna.

DOBRZECKI.

Prawda.... (na stronie.) Rozumna
... y Filut.

WIKTORYA.

Mnie się zdaie że iey ułomnościom
wybaczać potrzeba, bo ieszcze iest
młoda: przyszedzsy do lat zapewne się
poprawi.

DOBRZECKI.

(Na stronie.)

Co to za ferce cnotliwe! o wszystkich
dobrze trzyma! (Do Wiktoryi.) Ześ
sama dobra dla tego o wszystkich dobrze
rozumiesz (ściska ją) Moia Wiktofuiu
... nie mówmy o niey, .. mówmy o
tobie y o moim synowcu... on będzie
bardzo dobry byleś go ty wzięła.

WI-

WIKTORYA.

(Słyszac gadanie za
drzewiami.)

Ah... Mci Dobr:.. Pan Karol idzie.

DOBRZECKI.

Zniydzmy na bok... uslyszemy co
też on tam y z kim będzie mówił.

S C E N A II.

DOBRZECKI Stary. WIKTORYA.

(Na boku stoją.)

KAROL WESOŁOWSKI,

(Sluga Pawła.)

WESOŁOWSKI.

Oy Paneńku! dziwnie dobregoś Wć
Pan Dobr: gustu.... Panna Placylla
tak grzeczna zawzse, że grzeczniej-
szej na świecie nie znajdzie... choć-
by też kto chciał sobie z cudzych kra-
iow zapisać kochankę, toby lepszey nie
znalaził.

KA-

KAROL.

To widzisz... Znam się ja dobrze na tym towarze (*śpiewa po cichu sobie*)
Da, da, da, ... da, du, da, ... dry dy dum
dry dy dum ... dady radyda. (*Chodzi z miną wesolą.*)

DOBRZECKI.

(*Do Wiktoryi na stronie.*)

Co to za mina! ... Istny trzpiot z niego!

WESOŁOWSKI.

(*Do P. Karola.*)

Jak Boga kocham Mci Dobrodzieiu.
Ja sam gdybym był Panem tobym ja
tak kochał iak Wć Pan Dobr:

KAROL.

Alboż to tylko samym Panom godzi
się ja kochać?

WESOŁOWSKI.

Pewnieże! ... Bo z kądzeby ja wziął
a Diabła na takie prezenta y podarun-
ki iakie iey Pan daie?

KAROL.

Ha, ha, ha, ha... A iaż z kąd biore?..

Wszak

Wszak ty wiesz że dobra w ręku Stry-
iowskich. . On się w nich rządzi ią ie-
dnak mam wszystko czego mi się ze-
chce, . . lubo on o tym nie wie.

WIKTORIA.

(*Do Dobrzeckiego na stronie.*)

Znajdźmy z tąd lepiej Mci Dobro-
dzieiu . . . bo to Wć Pana Dobr: może
będzie martwić.

DOBRZECKI.

(*Do Wiktoryi na stronie.*)

Nie. . . Posłuchajmy co tu daley
będzie.

WESOŁOWSKI.

Toć też to jest co Pana ratuje. . . Ale
gdyby ten Stryśaszek nie był tak łaska-
wy iak jest, zapewneby Pan nie potra-
fił tak szumieć.

KAROL.

To prawda że iego dobroć bardzo mi
jest po ręce.

WESOŁOWSKI.

Oy. . y po ręce y po worku. . . On
tego może nie wyexpensuje za rok co
Pan

Pan za tydzień. A jednak on zawsze
Pana kocha y rozumie że nie W. P. D.
nie zaciągasz długow na tę fortunę,
którą trzyma w swych ręku.

DOBRZECKI.

(*Na stronie.*)

Y owszem wiem o tym,.. ale czekam
poprawy.

WIKTORJA.

(*Do Dobrzeckiego.*)

Zmiłuj się W. P. Dobr!.. znydźmy
z tad.

DOBRZECKI.

(*Do Wiktorji.*)

Y owszem idźmy do nich (*przybliża-
ją się razem z Wiktorją*).

WESOŁOWSKI.

Oy trzeba jeszcze y w tym zażyć z
mańki tego Staruszczyka, żeby...

DOBRZECKI.

(*Zbliżywszy się do Karola.*)

No, kochany Synowcze!.. kiedyż
przecie zaczniesz być dobrym?

WE-

WESOŁOWSKI.

(*Odkoczywszy ze strachem.*)

A czyć go tu lichy przyniosło...

DOBRZECKI.

(*Do Wesołowskiego.*)

Wac Panie Wesołowski nie wart ie-
steś tylko żeby ci dać kijową odprawę.
... Psuiesz mi Wasć Synowca swemi
podchlebstwami.

WESOŁOWSKI.

(*W minie ukladney.*)

Ja zaś Mei Dobr:?... Y owszem ia
mu wżysko dobrze radzę.

DOBRZECKI.

Słyszałem te rady.

WESOŁOWSKI.

Y ia wiem, że się WP. Dobr: barzo
podały... bo ia ani...

WIKTORJA.

(*Do Wesołowskiego.*)

Day pokoy lepiej, day pokoy... To
cośmy słyszeli nie warto pochwały.

WESOŁOWSKI.

(*Na stronie.*)

Tam

Tam do diabła... To już widzę,
że nie można zęgać kiedy nas słucha-
no.

DOBRZECKI.

(Do Karola.)

Jakże więc mój kochanku? nie do-
czekam się od ciebie ani słowka?

WIKTORYA.

(Do Dobrzeckiego.)

Jest trochę zmieszany niespodzia-
nym pytaniem.

WESOŁOWSKI

(Na stronie.)

Ktoby się u kata nie zmieszał widząc
kij w rękę.

DOBRZECKI

(Do Karola.)

Ale mój Karolku aby słowko mi po-
wiedz.

KAROL.

Cóż odpowiem? (Kłania się.) Chy-
ba to tylko:... Opuść Wę P. Dobro-
moję tę płochosć, którą we mnie ga-
niesz, a która nie jest niczym więcej
tylko

tylko skutkiem młodości barziej go-
dnym wybaczenia niżeli nagany.

WESOŁOWSKI

(Na stronie.)

Oy Frant!.. ułożył się gdyby wil-
czek w iamię.

DOBRZECKI.

Jużby też to y czas poprześcić
tej młodości zapędów!.. wszak wi-
dzisz tylu młodych, którzy są dalecy
od takich przywar iakich w Waści peł-
no... właśnie iakbyś nie miał żadney
nauki y rozumu, tak żyiesz... grać,
fzumieć, pić, ieździć, długi na spra-
wunki dla swoiey Placylli zaciągać, to
twoja cała zabwka.

WESOŁOWSKI.

Ja nie sto razy toż samo Jegomości
mówił.

DOBRZECKI.

Cicho.

WIKTORYA.

Nie przeszkadzaj Jegomości mówię.

WE-

WESOŁOWSKI

(Na stronie.)

No, no, no, no. Już ani żeby otwo-
rzyć.

DOBRZECKI

(Do Karola.)

Nie jestem tak nierozróżnianym, że-
bym ganić miał wszystkie rozrywki,
których zażywa młodzież... Wiem że
młodemu trzeba wesołej zabawki, nie
można żeby siedział jak sęp zachmu-
rzony... Edukacya tak dzika jest bar-
dziej tyrannią niżli wychowaniem...
Ale czyż koniecznie trzeba być
trzpiotem chciałszy być wesołym?

KAROL

Ja też od trzpiotowania jestem cał-
daleki.

WESOŁOWSKI

To wielka jest prawda Mci Dobr:..
(Na stronie) Jak Boga kocham nie
prawda.

WIKTORIA

Ale nie mieszay się w dyskurs...

WE-

WESOŁOWSKI

Ale bo mi idzie o prawdę.

DOBRZECKI

Możeszże się wymawiać y udawać
się przedemną takim niewiniątkiem?
... Toć to w całej Warszawie twoje
obyczaje tak głośne: że gdzie tylko
nadstawia się ucha wszędzie się słyszy
o tobie, że swój dom, swoje imię pla-
misz... mnie y siebie gubisz... jednym
słowem że żal się Boże iż nosisz na so-
bie imię mego synowca.

WESOŁOWSKI

Oy Mci Dobrodzieiu... to imię barzo
jest potrzebne memu Panu bo inaczej
nigdzieby może nie znalazł kredytu.

WIKTORIA

Ah, co ty mówisz!... kto cię o to py-
ta.

KAROL

(Kłaniając się.)

Tak mię to tylko wzięli na zęby
Mci Dobr: ale ja ze wszystkim czło-
wiek poczciwy.

E

WE-

WESOŁOWSKI.

Prawda, prawda Mci Dobr:

DOBRZECKI.

Nie byłbyś pewnie tak zepfowany,
iakoś iesteś, gdyby nie... ta, ta, ...
niegodziwa kochanka, w którejś się
szaleństwo zatopił.

KAROL.

Jaka kochanka Mci Dobr:?

DOBRZECKI.

Placylla.

WESOŁOWSKI.

Ah Mci Dobr: to bardzo grzeczna
jest dama.

DOBRZECKI.

Ciszey mówię ci... nie probuy cier-
pliwości moicy...

WESOŁOWSKI

(z strachem.)

Już! już! Mci Dobrodzieju.... Ani
mrumru.

WIKTORJA

(na stronie.)

Co to za gęba plapotliwa!..

KA.

MAGDUSIA.

(Na stronie.)

To nie dobrze że moją Panią tak zna-
ją!... (Do Wesołowskiego:) Y mówił
że to Stryi wyraźnie Panu Karolowi
aby moję Panią opuścił a do Wiktoryi
był udał?

WESOŁOWSKI.

O.... Z pół godziny mu tu o tym
prawił kazanie... Ale moy Pan nic
mu więcej na to nie odpowiedział, tyl-
ko że się o tym namysli.

MAGDUSIA.

(Na stronie.)

Y prawdziwie jest tu oczym myśleć.
(Do Wesołowskiego:) Przyznam ci się
moy Wesołowski że mię ta Propeczy-
cya trochę obchodzi: bo czy podobnaśz
przymuszać czyie serce żeby to kocha-
czego nie lubi, a to porzucało co
kocha?

WESOŁOWSKI.

toż samo mówiłem! Ale coż to
dzi z temi Opiekunami? Każdy
Synowi, Matka Corce, Stryi
Syno-

Synowcowi, Pan słudze, ustawicznie to każe czynić co mu się podoba: a to tu czasem nie można. Ia iak boga kocham będąc Panem Karolem nigdybym nie usłuchał Stryia.

MAGDUSIA.

Toż samo y P. Karol zapewne uczyni.

WESOŁOWSKI.

Day Boże! Winzowałbym sobie że moja rada wzięła skutek.

S C E N A VI.

PLACYLLA MAGDUSIA,
WESOŁOWSKI.

PLACYLLA.

A ty Magdusiu zawsze z Wesołowskim.

MAGDUSIA.

Muszę Mcia Dobr: bo to tu idzie o Iey własny interes.

PLA.

PLACYLLA.

(zadumiona.

O moy interes?

WESOŁOWSKI.

O... a ieszcze o tak ważny iak sama WPD. Ten interes tyle wart co rozum, nauka, uroda, wdzięki, przyjemoty y wszystko WPDobr:

PLACYLLA.

A to iak?

WESOŁOWSKI.

A to tak, że to wszystko porzucić P. Karolowi rozkazuje Pan Stry... A rozkazuje pod tak łakomą kondycją, albo iego fortuny albo miłości WPDobr: będzie się musiał moy Pan wyprysnąć.

MAGDUSIA.

(Do Pani pocichu:)

Uderz WPDobr: kulą złotą w niego: może on ieszcze iasnier otworzy tę całą tajemnicę.

PLACYLLA.

Prawdziwie zadziwiasz mię swoją relacją! (Chodzi zadumiona) Starzec prze-

C

przebrzydły!... Odrywać odemnie mego Amanta! Ah... zemścę się na tej krzywdy.

WESOŁOWSKI.

Nie wiem jak się to ten interes skończy... Wszystko mi się jednak widzi, że mój Pan

PLACYLLA.

(*Daiąc kieszkę:*)

Mój Wesołofiu.. twoja wierność ku swemu Panu, którego ja kocham, warta żebym ci ją odwdzięczała za nią... Weź że tę bagatelę.

MAGDUSIA.

(*Na stronie:*)

Wyśpiewa on tu zapewne jeszcze więcej.

WESOŁOWSKI.

(*Kłania się biorąc:*)

Ach Mcia Dbr: Iabym się dał ut. y za Pana y za WPDbr:

PLACYLLA.

Coż ma w tym za interes Str. twego Pana odemnie oddzielić gnie?

W

WESOŁOWSKI.

Bo Pannę Wiktoryą bardzo lubi. Ona mu się zdać być zbiorem wszystkich cnot: On na nią patrzy bardzo dobrym okiem a na WPDbr. zyzem.

MAGDUSIA.

Wszak ja to nie raz mówiłam WPDbr: że nikt iej nie jest główniejszym nieprzyjacielem nad P. Starosię.

PLACYLLA.

Ale cożem ja mu uczyniła złego?

WESOŁOWSKI.

On w WPDbr: nic nie widzi dobrego: nawet powiedział Panu memu żeś go WPDbr: zepsuła.

PLACYLLA,

(*Na stronie*)

Wszystkie Passye mnie biorą!... Co za Starzec niegodziwy!

MAGDUSIA.

Ja się bardzo dziwię, że to lichy nie weźmie już ze świata tego złośliwego fiwca... Co mu moja Pani winna.

WESOŁOWSKI.

Co winna!.. oto to, że się z jego humo-

C 2

humorem nie zgadza.. nasz Stryia-
fzek wcale inaczej wszystko y myśli
y czyni niż młodzi ludzie na świecie:
On rozumie że intraty pomnażać:
Rozum naukami polerować, czas nad
Xięgami trawić: skromnie żyć, na la-
da frazki nie expensować, największa
jest sztuka: a u młodych ludzi to nie
w modzie.

PLACYLLA.

Słuchayno Wesołowski: czy nie
mogłbyś ty zaraz poszukać swego Pa-
na? Powiedz mu że mam do niego
bardzo pilny interes.

WESOŁOWSKI.

Całym sercem Mcia Dbr:.. Służyć
WPDbr: to dla mnie największe szczę-
ście.. (Na stronie:) Aż zbladło chu-
dziątko, tak ja moje relacje zmięszały.

PLACYLLA.

Moy przyjacielu spieszże się.

WESOŁOWSKI.

Idę. Idę Mcia Dbr:

SCE.

SCENA VII.

PLACYLLA, MAGDUSIA.

PLACYLLA.

(Chodząc zaszepiona:)

O Nieba!.. Co za Starzec!.. Co
za Nieprzyjaciel!.. Co za tyran!..
Ah niezniosę dłużej tej hańby!

MAGDUSIA.

Ah moja Mcia Dbr: czyliż warta te-
go złość Pana Starosty: żebyś się tak
dawała pożerać smutkowi?.. Może
się to wszystko inaczej obroci.

PLACYLLA.

(Zaszepiona:)

Trzeba użyć sposobu na zniwecze-
nie tego uniżającego mię zamachu!..
Trzeba!.. Ale iakże?.. Zgu-
bić go chyba!..

MAGDUSIA.

Jeżeli to bez urazy Pańskiej be-
dzie.. tobym ja powiedziała co by w
tym razie nayszyteczniey uczynić.
PLA-

PLACYLLA.

A... twoja rada!

MAGDUSIA.

Przepraszam Meia Dbr: wszakże już nie raz moja rada pomyślny znajdowała skutek.

PLACYLLA.

Ale go tu sobie próżno obiecujesz!... Upor Starosty zapewne zwycięży serce P. Karola: a więc ja zginęła... (Na stronie) Ah serce mi się kraie kiedy o tym myślę.

MAGDUSIA.

Ia zaś mniemam że używszy affektu y przywiązania P. Karola z którym jest dla WPDbr: możnaby go do tego łatwo namówić aby Stryia waryatem nazwał: Fortunę w ręce odebrał aiego w szpitalu gdzie zamknął,

PLACYLLA.

Oho, ma on takich przyjaciół! którzyby go bronili... (na stronie) Ha! wiem co uczynię... To sposób krótszy y lepszy.

MA-

MAGDUSIA.

Nie zawadzi przynajmniej sprobować, może się to y uda.

PLACYLLA.

Nie, nie: Już ia, co innego myślę... Ah że P. Karola nie widać!

MAGDUSIA.

Y owszem, oto już nadchodzi.

PLACYLLA.

(Udając mdłości pada na kanapę)
Ah... ah... Ratuj mnie.

MAGDUSIA.

Ah Przebog coś się dzieie! (trzęsiąc)

S C E N A VIII.

PLACYLLA, KAROL,
MAGDUSIA, WESOŁOWSKI,

KAROL.

(Z krzykiem)

Oy, oy!... Ach moja Bogini! moja Krolowa! moje iedyne Bóstwo które adoruję.

WE-

WESOŁOWSKI.

(Na stronie)

Ubostwo!.. Ledwie nie skonało!..
 Dalibog bym iey płakał.

PLACYLLA.

(Otwierając powoli oczy)

Ah okrutna śmierci!.. Czemuż ode-
 mnie uciekasz!

MAGDUSIA.

Patrz WPDr: co to tu narobiły Ie-
 go Stryia figle!.. Ubiłabym go gdy-
 bym mogła.

KAROL.

Kochana Placyllo! czyliż tylko po to
 spieszyłem się tutaj żeby oglądać tak
 żałosny widok?

PLACYLLA.

Iuż nie długo będziesz nań pa-
 trzył.... Iutro zakończą się y moje
 uciski y twoje przyczyny żalu.

KAROL.

Coż zaś!.. Co to ma znaczyć...
 Ah najmiłsza! niech Nieba nie dopu-
 szcza!.

MA-

MAGDUSIA.

Oh dla Boga.... Co za bladeść po-
 kazuje się na twarzy!

WESOŁOWSKI.

(Na stronie)

Otożem ja jeszcze nigdy nie widział
 żeby tak Amanci nad sobą płakali...
 Dalibog cięższa to rzecz widzę kochać
 się a niżli się upić.

KAROL.

Sliczna Placyllo!.. Usta twoje wy-
 blade wkroś mię przeymuią strachem.

PLACYLLA.

Iuż iutro wyrzysz je zamknięte na
 zawłze.... Dziś ostatni raz odbie-
 ram od Ciebie dowody przywiązania y
 uprzymey miłości.

KAROL.

Ah ty mi serce ranisz!

MAGDUSIA.

Zmiłuy się WPDrka: nad sobą: zdo-
 bywaj się na fity... Albo zażyj WP
 Drka: trochę lodekarmu.

WESOŁOWSKI.

A moim zdaniem najzdrowiej by
 było kiliszek likieru.

PLA-

PLACYLLA

(*Sciśkając Karola*)

Miły Karolku ... Nayulubieńszy kochanku, ściskam cię serdecznie
Ah ... już po ostatni raz.

KAROL.

Prze Bog! ... Co ia hyszę! ..

PLACYLLA.

To, co się już stało Zbliża się ow okropny moment jeszcze kilka godzin ... a nastąpi przepaść która mnie od Ciebie oddzieli na zawsze Już się stało ... Dobrzecki Ah ten okrutnik ten tyrański Strytway Ta jest poczwara która mię gubi Już po mnie!

KAROL.

Ah zdrayca ... trzeba temu zapobiedz! Powiedz mi kochana Placyllo, co jest coby mi trzeba uczynić? ... Na wszystkim gotow co tylko każesz Czy być niewolnikiem, czy ofiarą za Ciebie, śladko mi y miło będzie choćby nawet y samę śmierć ponieść ... Sama tylko miłość jest

jest mi dziś Bogiem Iey tylko samę czuję wzruszenia Iey tylko iedynie słucham ...

PLACYLLA.

Dobrze więc: ... Słuchayże swej miłości głosu Ona ci mowi ... Ona ci prawa daie Ale wieszże iakie?

KAROL.

Choćby nacyęższe! ... poddam się im z ochotą!

PLACYLLA.

Niechże więc ci ustąpią. (*do Magduś*) Idź do pokoju y czekay na mnie.

MAGDUSIA.

Bardzo dobrze Mcia Dbr: (*Na stro-nie*) Coś to tu będzie wielkiego, kiedy nawet przedemną sekret.

KAROL.

(*do Wesołowskiego*)

Y waśc wynidź: czekay aż na ciebie zawołam.

WESOŁOWSKI.

A iak Pan także zemdleie? ... Trzeba przecie kogoś żeby poratował.

KA-

KAROL.

Ale idź mówię.

WESOŁOWSKI.

(Na stronie.)

Zapewne się tu wnet otrzeźwia zostawisz we dwoikę: to nowy sposób na uleczenie młodości cucić się! Kawaler z Damą sam na sam.

S C E N A IX.

PLACYLLA, KAROL.

(a potem), DOBRZECKI.

KAROL.

Słucham tedy śliczna Placyllo; które to są Prawa miłości? które dziś z ust twoich, odbierać y wykonać pragnę?

PLACYLLA.

(W lepszy oczy z uwdzięciem)

Spiesz się miły Karolu!.. Nie gub czasu... Jeśli zwleczesz do jutra ja zginę nieuchybnie..... Ty nie masz nic miłszego mówisz, y nic co-
byś

byś bardziej kochał nad Placyllę.

KAROL.

(Ciągnąc ię rękę)

Tak jest... Tyś tylko iedynym ce-
lem serca mego.

PLACYLLA.

Ia zaś nie bardziej nie nienawidzę
iako Stryia twego!... Jeśli mię więc
kochasz... Zgubą iego uprzedź zgu-
bę moję... Moy los w ręku jest
twoich... Noc się zbliża, po ktorej
mnie albo szczęśliwą albo nieszczęśli-
wą zostać trzeba koniecznie.

KAROL.

Ale iakimże to wykonać sposobem?

PLACYLLA.

Wiesz że twoy Stryi co wieczor
przechodzi się po tym ciemnym łasku
ktory tu ma w Ogrodzie: Gdzie bez
wątpienia serce iego układa Defenie
na moję zgubę... Znajdziesz go tam
zapewne samego.. Idźże więc, uszczę-
śliw siebie y mnie odebraniem mu ży-
cia... Zabierz zaraz wszystkie
skarby y oddaj mi je w ręce... do-
cho-

chowam ci ich upewniam w całości.

KAROL.

A iak mię kto obaczy?... To się moje zabójstwo odkryje.

PLACYLLA.

Iest y na to sposob... Pokryi twarz Maską... Odmień suknie... przestroiony tak od nikogo nie możesz być uznany.

KAROL.

(*Chwytaiąc ją za rękę*)

Nie masz nic czegobym nie uczynił skoro ty mi każesz.... Iednak moje serce wzdryga się tak okrutney roboty... Będęż śmiał podnieść rękę na tego, który iest mi więcey niż Oycem?

PLACYLLA.

Przyśiągłeś, a teraz się lękasz.... Dobrze! więc ja nie ulękne się ginać z twej przyczyny. (*chce odchodzić*)

KAROL.

Ah poczekay najmilsza!... Jużesz! poddawszy się tak bardzo miłości, którą czuję ku tobie: Muszę się poddać y tym rozkazom które wykonać trzeba dla obronienia Ciebie.

PLA-

PLACYLLA.

Dopiero widzę, że mię kochasz: lepiej się o tym ieszcze upewnij, gdy się zemścisz nad tym, którego ja nie nawidzę. Czekam z upragnieniem skutku twoich poprzyśiężonych obietnic (*chce odchodzić y spotyka się z Dobrzeckim*)

DOBRZECKI.

Właśnie też życzyłem sobie aby momećki pomówić z WPDbr: Suppliku- ię daruy mi tę chwilę czaśu.

PLACYLLA.

Bardzo chętnie... (*na sronie*)
Trup przebrzydły.

DOBRZECKI.

(*do Karola*)

Coż to za pomiećzanie na twarzy Twoiej widzę?

KAROL.

Trochem zaambaraffowany Mości Dobrodzieiu.

PLACYLLA.

Alboż W. Pan nie wiesz że iestęś autorem tego dzieła?

DO-

DOBRZECKI.

Ia zaś?

PLACYLLA.

Toć nie ia!... Przyjaźń nasza z P. Karolem tak WPa. bije woczy: żeś się uwziął prześladować ią w nas.

DOBRZECKI.

Prześladować, nie jest charakterem Dufzy moiey... Z ludzkością staram się postępować z wszystkiemi, a dopiero z takim Synowcem ktorego lubię y kocham... Jeżeli w nim czasem zganię to co mi się nie podoba... mam swoje racye...

KAROL.

(Na stronie)

Ah... co za niepoko'y w mym sercu.

PLACYLLA.

Strażniem ciekawa tych racyi dla ktorych to W. Pan ganisz naszą przyjaźń.

DOBRZECKI.

W. Pani naylepiey musisz wiedzieć o nich; chyba że się na sobie nie znalazł.

PLA-

PLACYLLA.

Czy jeszcze y w oczy chcesz się W. Pan ze mnie uragać?

DOBRZECKI.

Nie, niechcę... Ia y za oczy y w oczy mówię żeś WPDobr: od natury ozdobiona wielą taletami... Ale obyczaje...

KAROL.

(Na stronie)

Otoż nowa klutnia!

PLACYLLA.

Coż to znaczy, obyczaje, obyczaje!

DOBRZECKI.

To znaczy że nie zewszyskim chwalebne.... Moy Synowiec trzpiotem poczęści; nie rzetelnym czasem; zuchwiałym często; nieuważnym w mowie; leniwym w naukach, a utraciłem w wydatkach zrobił się w WPani szkole. Jużbym o nim rozpacział, gdybym jeszcze nie miał nadziei że W Panią kochać przestanie.

PLACYLLA.

Ia zaś wszelkiey użyję staranności

D

że

że nigdy nie przestanie. (*Chwyta za rękę Karola*) Obaczemy kto mocniejszy czy WPa uporna złość czyli nasza miłość... Choćbyś się rozpukł z iadu, ja pokazywać ci nie przestanę co to jest chcieć siaremu rozrywać związki miłosne młodych!... Gardzę twoją przewrotnością, a jestem pewna o wzajemney miłości tego którego kocham. (*odchodzi*)

KAROL.

Ah czy godziś się prześladować tak niewinną?

DOBRZECKI.

Kochany Synowcze!... Co czynisz!... Widzę żeś się całę zatopił w tej nieuważney Kóbiecie.... Ona Cię przywodzi aż do pogardy mego przywiązania ku tobie y tych Praw, które mam nad tobą... Niechcę ci teraz więcej nic mówić: bo jesteś w aktualney pasji a zatym nie sposoby do przyjęcia mey rady.... Zostawuję cię więc samego... Może gdy oty-

gniesz

gniesz z gniewu będziesz zdatniejszy do przyjęcia mych przestrog.

S C E N A X.

KAROL

(*a potym*) WESOŁOWSKI.

A prawdziwie sam się nieczuję, y prawie odchodzę od zmysłów..... Kocham Placyllę... Ale ah będę tak okrutnym żebym dla niej miał tak czei godnego Stryia... tak przychylnego Opiekuna... tak dobrego Pana ba właśnie Oycę zabijać... Potrafięz otwierać żelazem to serce, które się prawie wylewa z swoją łaskawością dla mnie!... Ah... nie... Ale jakże?... Przyśiągłem.... O miłości... Ah wolę już otym y nie myśleć... wolę zrobić na oślep com uroczyscie poprzyśiągł mojej kochance. (*Formuła sobie mię desperacką*) Hey!... Wesółowski!... Wesółowski!...

D2

WE.

WESOŁOWSKI (za parawanami.)
Zaraz zaraz! Mci Dobrodzieju.

KAROL.

Podźże no prętko!

WESOŁOWSKI

(oczy przeciera y ziewa.)

Idę idę.

KAROL.

Cożeś tam robił?

WESOŁOWSKI.

Nic Mci Dobr: tylko tu przed poko-
iem zdrzymałem się trochę.

KAROL.

A dla Boga! wżytkoć drzymiesz.

WESOŁOWSKI.

Paraliż wie kiedy się wyśpać:
Po całych nocach muszę albo jeździć
po Marymontach po Diabłach: albo stać
na warcie żeby Stryaszek nie zszedł kie-
dy się Pan bawi w pokoju z Panną Pla-
cyllą.... Człek czasem całą noc y n-
ka nie zmruży.

KAROL.

A no, wyspiśz się potym!... Nie za-
długo będzie nam trochę lepiej niż
teraz

teraz... Nie będziem się strzegli ni-
kogo.

WESOŁOWSKI.

Day Boże... ale nie wiem jakby
to? bo Pan Stryi....

KAROL.

O... Stryi, stry!... słuchajno:
przyśięgnii mi że mię nigdy nie wy-
dasz z sekretu...

WESOŁOWSKI.

(Palec na palec zakłada.)

Ah! choćby mi się wżyskie palce
pokrzywiły, gotowem million razy
przyśiędz.

KAROL

Ze mię nigdy nie odstąpiśz.

WESOŁOWSKI.

Gotowem jak w Matżeństwie mo-
wić Panie, a iż cię nie opuścę aż
do śmierci.

KAROL.

Ze wżysfko będziesz czynił co ja
ci rozkażę.

WESOŁOWSKI.

Tak mi pomoż P. Boże.

KA-

KAROL,

Toś łepki ... Dziś ieszcze będziesz miał odemnie sto Dukatów.

WESOŁOWSKI.

Ale z kąd ich Pan u diabła weźmie tak prędko ; bo to już wieczor.

KAROL.

Obaczysz z kąd.

WESOŁOWSKI.

No, no, no, Mos Panie ... Ale żeby ja za to nie poszedł do kozy ... bo ja Dalibog tey dobroćki nie lubie.

KAROL.

Nie boy się ... A maszże też Maskę moję y swoję ?

WESOŁOWSKI.

Ale dziś pono redut nie będzie Mci Dobrodzieju.

KAROL.

Na insze my to poydziemy redu-ty ... Opowiem ci to potym lepiej ... teraz zaś przyporządź dla mnie suknie owe w ktorych chodzę *in cognito* : a dla siebie furdut y moy kordelas przypaszysz. (odchodzi.)

WE-

WESOŁOWSKI.

(Sam)

Coś ten moy Pan gada właśnie jak po butelce Likworu : jedno się drugiego nie trzyma ... Przyśięgay na sekret ... a tu sekret cały : Maską y Surdut ... Oy biadaż to z temi Amorantami, chodzą jak nieswoi, myślą jak w zachwyceniu, mówią jak w gorączce, jednym słowem właśnie są iłniwaryaci ... A muszę już poyść za nim, żeby sobie czego złego nie zrobił.

KONIEC

AKTU PIERWSZEGO.



AKT

A K T II.

Ogrod w Perspektywie, przy boku iednym gaik z drzew w kwadrat sadzonych, a przy brzegu tego lasku altana z drzew.

S C E N A I.

W L E K T O R T A

(sama siedząca w Altanie.)

CORY to za uszczęśliwienie było: gdybym się tu widziała w tym miejscu rozmawiająca z Karolem iak z małżonkiem moim! . . . ale to są próżne nadzieie! . . . Placylla podbiła sobie iego serce y opanowała umysł... Próżno kochany Stryi iego usługi obrócić go do mnie!... ostróżna rywalka

walka nie dopuści wymknąć mu się z tej matni, w której go uplątanego trzyma. . . . Ah iak wielu młodzieży po mimo wolę swoją idą w pęta y w niewolą ludzacych niewiaśc!... Może i Karol nigdyby był o Placylli nie myślał, gdyby go były nieufidliły iey szutki . . . icy obrot przynęcił go, złowił, y trzyma. . . . Ale za coż ją posądzam?... wolę raczey o czym innym myśleć. . . . Starostą kochany zwykł tu w tym miejscu rozumem melancholiami się bawić: iemu tu nayulubieńsze są wieczorne chwile... biedny Starzeć!.. iak go to musi trapić że iego synowiec iest obyczajow trechę różnych od iego... ah gdyby to w moley mocy było!.. przez sam szacunek cnoty tego mego opiekuna: przez samę wdzięczność za iego łaki starałabym się zwyciężyć serce Karola... ale darmo... nie mogę sobie tego obiecować!.

· S C E ·

S C E N A II.

WIKTORJA, DOBRZECKI.

DOBRZECKI.

(na stronie.)

Już nie idę sposobu, ktoregoby
zażyć trzeba na mego synowca.... ah
szkoda tej szczennej młodości, że się
marnie traci... gdyby aby.....

WIKTORJA.

(nie widząc Dobrzeckiego.)

O cnotliwy Dobrzecki... iak wiele ty
tez wyleiesz...

DOBRZECKI.

(na stronie.)

Ah, a to głos Wiktoryi.

WIKTORJA.

Iaką uczuiesz boleść, widząc swoje
usiłowania daremne!

DOBRZECKI.

(na stronie.)

Nademną się lituie... dobroć serca
wzudza w niey to politowanie!

WI-

WIKTORJA.

(nie widząc Dobrzeckiego.)

Pòydę już, żeby mię tu na większy
swój żal nie zastał *(wychodząc widzi
Dobrzeckiego)* Ah niespodziewałam się
że Wć P. Dobr: inż tu jesteś.

DOBRZECKI.

Jestem kochana Wiktorja y słyszę
iak two serce lituie się o mą....
zawszem ia w tobie wierzyłam że się rzą-
dzisz cnotą... o gdyby tak mój sy-
nowiec!

WIKTORJA.

Rostropność Wć P. Dobr: y słodkie
upomnienia, może go naprawią.

DOBRZECKI.

Pragnę tego: y umyśliłem dziś ko-
rzyścić z jego melancholii... to na-
pomnienie ktorem mu uczynił, znać
że dosięgło go aż do gruntu serca.

WIKTORJA.

Wielcebym winzowała WP. Dobr:
gdybyś iak nayprzedzey miał z niego
pociechę.

DO-

DOBRZECKI.

A ja tobie cnotliwa Wiktoryo win-
szowałbym także... O co za uszcze-
śliwienie byłoby moje widzieć się w
domu waszym z radością oczekujące-
go końca moiej starości.

WIKTORJA.

Ja zaś życzę y owżem W. P. Dobr-
iak naydłuższego życia.

DOBRZECKI.

Niechbym już nie żył dłużej tylko
puty ażbym oglądał uszczęśliwienie
wasze, dosyćby mi y na tym.

WIKTORJA.

Może też nieba opócz tych żądań
skutku, nżyczą y datu czerstwości.

DOBRZECKI.

Idź! może tam zastapiesz mego Ka-
rola... powiedz z nim, że nic barziej
nieżadam, jak uczynić go szczęśliwym.

WIKTORJA.

Nie wiem czy mile przyłmie moje
perfwazye... ale jednak będę ie czy-
niła na rozkaz W. P. Dobr:

(odchodzi.)

SCE-

S C E N A III.

DOBRZECKI.

Sam (chodzi)

Co to za cnotliwa dusza, co za do-
bre ferce, co za śliczny umysł?... czy
trzebażby więcej czego szukać memu
synowcowi do zupełności jego szczę-
ścia, jak tylko tę obrać mu za mał-
żonkę?... Nie bezwątpienia!...
Skarb to jest nie oszacowany dobra y
cnotliwa żona... Wszyfko znalazł
kto taką znalazł... Kocham go, y
przetoż życzę mu takiej.... O Nie-
ba jeżeli głos mój dochodzi aż do was..
jeżeli moje dobre jntencye nie są przed
wami ukryte... jeżeli nie jesteście
głuche na wzdychania ludu żyjącego
na ziemi... Daycie się na klonic
nym proźbom... Wszakci to tylko
jest jedno czego się domagam...
Ah... Czemużbym się tego nie miał
spodziewać?... Powiniennem y spozdie-
wam się.... Jakożkolwiek synowiec
moy uplątany jest w przyganne natogi:
nie

nie jest jednak ietzcze zepsowany ca-
le Trzymam ietzcze tyle o je-
go gruncie serca, że choć się gniewa
czasem na moje przestrogi, mogłbym
jednak bezpiecznie na jego łonie spo-
czywać płochy jest bo młody :
ależ jednak nie jest tak złośliwy żeby
mnie jakim czarnym występkiem za-
smucił . . . (*siada sobie w altanie*) O...
gdybyż go oświeciły nieba, a dały
światła swoich tyle ile by mu trzeba
do poznania się na sobie, y do uznania
tego że jak we wżysfikim tak y w tym
czego po nim żądam, moje intencye
są zawsze czyste y nie dążą tylko ku
jego dobremu.

SCENA IV.

DOBRZECKI, KAROL,
y WESOŁOWSKI.
(*Obydwa przebrani y maski trzy-
mający w ręku*)

KAROL.

(*do Wesołowskiego*)

No, sroyże tu na odwodzie !.. Jeśli-
by

by iaka była potrzeba, tedy się trzeba
stawić męskim sercem.

WESOŁOWSKI.

(*do Karola*)

A moy Dobrodzieju . . iac mniemam
że nie kobiecie mam serce.

DOBRZECKI.

(*Nie widząc ich*)

Nie pokoy jednak, który się odzywa
w mym sercu : zdaie się jak by mi nie
obiecował pomyślnego skutku.

WESOŁOWSKI.

(*do Karola*)

Ale tu widzę Mei Dobr: y Pan Stryi
siedzi.

KAROL.

(*do Wesołowskiego*)

Tym lepiej !.. Jego nam też trze-
ba Otoż jest cała tajemnica, którą
ci tailem aż do tąd . . . Miłość moja ku
Placylli: a złość Stryiowska y jego
przewrotne rady, przywodzą mnie do te-
go, że dziś musi zginać.

WE-

WESOŁOWSKI.

(do Karola)

Jak to zaś? to go WP Dobr: chcesz
zabić?

KAROL.

Nie inaczej!

DOBRZECKI.

(na stronie.)

Co też tam kochana Wiktorya inowi
o mnie przed P. Synowcem!

KAROL.

(do Wesołowskiego)

Y czegożes się tak zamyslał?

WESOŁOWSKI.

(do Karola)

Ha, ... iest bo to tu o czym my-
śleć. ... Takie rzeczy Mci Dobr: gał-
ką pachną. ... a komu głowę od karku
odepną: to już cała talia nie warta.

KAROL.

(do Wesołowskiego)

Ah co ty otym myśliłz ... Nie boy
my się niczego.

WESOŁOWSKI (do Panc

Jać się tu niczego nie boję. ... /

Sę-

Sędziogo y kata ze diabły się lękam...
Ci Jchmie bardzo niedyskretni dla ta-
kich co popełniaią zaboystwa.

DOBRZECKI.

(nie widząc ich)

Pòki w nim iestzcze grunt ferca nie
skażony: pòty zawczalu muszę praco-
wać około jego naprawy.

KAROL.

(do Wesołowskiego)

No! wdzieWAY Maskę a DobyWAY
kordelasa.

WESOŁOWSKI.

(do Karola)

Oto mnieysza ... ale jednak (drzy)
Jak Boga kocham tytki drzą podemną...
(wdzieWA maskę) No sroy się Pan....
Podobno Mołpanie ta cała robota diabła
warta!

KAROL.

(wdzieWAjąc maskę)

Ah!.. trzeba już ... (DobyWA pu-
ginału y uczyniwszy krok wraca się drząc
y zdeyma znouu maskę) O Nieba... fa-
mo weyrzenie na czci godną Szędzi-

E

wość

wość jego, strach we mnie y drżenie
sprawuie...

WESOŁOWSKI

(do Pana)

A widzi Pan że to nie chychy!...
a gdzież owa odwaga?

DOBRZECKI.

(wstawszy zatamuje ręce)

Coż się dzieje w mym sercu....
ten nadzwyczajny w nim niepokoy
mocno mię zadziwia.

WESOŁOWSKI

(do Pana)

No Mos Panie!... albo bijmy albo
uciekamy!

KAROL.

(do Wesołowskiego)

Ah poczekay! (do siebie) O miło-
ści!... Odważysz się na tak frogi wy-
stęppek... Podnieleż świętokradzką rę-
kę na rozlanie tej krwi która y w
mych żyłach krąży?..... trzeba.....
Przyśiągłem.

WE-

WESOŁOWSKI.

(do Pana)

No Mas Panie!.. Bo ja iak Boga ko-
cham y z przyśięgą moją ucieknę.

KAROL.

(do Wesołowskiego)

Zaraz! zaraz: (Wdziewa maskę iak
przedtym y zdeyma) Ah (rzuca się na
barki Wesołowskiego) Ratuy mię! sły
mi uśtaia.

WESOŁOWSKI.

(do Pana)

Ey bo W Panie śmieszny!... albo ro-
bić kiedy co robić, albo dać już zu-
pełnie pokoy.

KAROL.

(desperacka mina)

Kochana Placylo czyliżem ci nie
przyśiągł... Ah niewart bym twego
serca. (Wdziewa maskę)

DOBRZECKI.

(wstaiać chce wychodzić)

Poydę obaczę co się tam u Karolka
dzieje.

E 2

WE-

WESOŁOWSKI.

(głośno)

Huyże po nim.

KAROL.

(przebiegając Dobrzeckiego)

Gin.

DOBRZECKI.

(padając na ziemię)

O Nieba!...

WESOŁOWSKI

A dalibog! dy on go do prawdy pchnął.

DOBRZECKI.

(głosem słabym)

O gdzieżeś jest kochany synowcze!... miły Karolu, nie masz cię... z daleka odemnie nie możesz przybyć na ratunek w moim okrutnym razie... obroniłbyś mię zapewne... Ah... Niechci! Nieba! użyczają błogosławieństw gdziekolwiek się obrocisz!...

KAROL.

(zrzucając maskę y puginął na ziemię)

Co ja flyszę!... Ah ja nieszczęśliwy (rzuca się nań ratując go y tamując krew)

(krew) Wesołowski! wołay ludzi na ratunek... Doktora... Doktora...

WESOŁOWSKI.

(krzyczy.

Gwałtu! Gwałtu! (wychodzi z teatru)

DOBRZECKI.

(Zzadumieniem patrzy)

Cb. ja widzę? Ty żeś to jest Karolu?... Ah czyżem w tym przewinił zem ci był Oycem?

KAROL.

(ohustką przyciskając ranę)

O kochany Stryiu!.. Nie wart już jestem tylko nayokrutniejszey śmierci. (Zatamując ręce) O dniu godzien wyklęcia ktorego się stało to frogie. obcoystwo:

DOBRZECKI.

(głosem mdłym.)

Podź moy naymilszy... Niech cię uściskam... omdłone siły nie dopuszczają mi... wyrazić... tey dobroci... którą... serce me... czuje... Odpuszczenia znakiem... niech będzie

będzie... to ferdeczne pocałowanie.
(*ściska go jedną ręką y całuje: Karol zaś
szlocha na pierśiach jego.*)

S C E N A V.

DOBRZECKI, KAROL,
WIKTORJA, WESOŁOWSKI,
DOKTOR, LOKAIE.

WESOŁOWSKI.

(*biegąc prędko.*)

Zmiłujcie się!... Jegomość pchnię-
ty.

WIKTORJA.

(*placząc.*)

Ah kochany! Panie (*całuje go w
rękę*)

Puls DOKTOR.

Nic to, nic to;... tylko ja zrobię
większą potym ranę: to on będzie
zdrow za trzy dni.

KAROL.

O ja nieszczęśliwy!..

WI-

WIKTORJA.

Coż się przebog stało!... Kto go
pchnął! kto go zranił?

WESOŁOWSKI.

(*Podnosząc pugnat*)

Ten oto Pugnat Mcia Dobrodziko.

Puls DOKTOR.

No, trzeba bez odwłoki zanieść Je-
gomości na łożko: trzeba mu krew pu-
ścić bo się trochę załakł.

WESOŁOWSKI.

Alboż tej krwi mało?

Puls DOKTOR.

No no nie rezonuy WPan!... Ja
lepiej wiem czego choremu trzeba.
(*do Lokaiew*) weźcie WPanowie
Jmci; tylko powoli, żeby ten kompres
nie odpadł.

DOBRZECKI.

Ah słabym!... Nie szarpnieciz mię...

WIKTORJA.

Powoli, powoli!

Puls DOKTOR.

(*łapiąc go Lawendogrą.*)

No, no... Noga za nogą:.. Bę-
dzie

dzie potym miał płuca bardzo zdrowe
jak mu ta krew odejdzie :

KAROL.

Ah ja nieszczęśliwy.

WIKTORYA.

Zmiłuy się W Pan M Panie Doktor :
żeby w ręku nie skonał!

Puls DOKTOR.

A od czegoż ja jestem: Będzie żył
jeszcze aż póki duch w ciele.

WIKTORYA.

O kochany, Dobrodzieiu, Opieku-
nie, Oycze (załamałszy ręce idzie za-
nim)

S C E N A VI.

KAROL, WESOŁOWSKI.

WESOŁOWSKI.

Co to teraz z tego będzie Mci Do-
brodzieju? WP Dobrze widzę płac-
zysz?

KA-

KAROL.

(zaśmucony)

O! przekłete ręce!... O okrutna du-
fzo!... O nieszczęsna sprawko!...!!
czemuż jeszcze dłużej przeciąga się
me życie..... Ah! bodajesiem się
był nigdy nie odważał na to!

WESOŁOWSKI.

Wszak ja Panu zaraz mówił że ta
cała robotka po diable... Pan jednak
mówił: nie boj się, a teraz Pan wi-
dzą y sam jest w strachu.

KAROL.

(zaśmucony)

O frogą zawziętości!... możnasz
mię było namawiać do tak nie ludzkiej
zbrodni...

WESOŁOWSKI.

Ha, co się stało rozstać się nie mo-
że!... Ale ja się tego boję co się z na-
mi stanie.

KAROL.

Idź! obacz co się tam dzieje: ja po-
moim występku nieśmiałyby m iuż y o-
czu

czu podnieść na Twarz tego ktoregom
tak zranił. O co za straszna zbrodnia!

WESOŁOWSKI. Jestu!

A jakże czy tu powrócić do Pana?

KAROL. *aczkolwiek sum*

Prós niech Pan Puls Doktor jak najszybciej
praciebie żebym go utrzymał przy
życiu. Ah... Ah...

WESOŁOWSKI.

A przecieć tyle Aptek w Warsza-
wie a Felczarów bez liczby.

SCENA VII.

KAROL.

(sam)

Coż teraz pocznę! gdzie się podzie-
ję po tak haniebnym występku.... Co
za niewdzięczność moja porywać się
na tego który mnie kochał bardziey niż
żli Ojciec.... chcieć odebrać temu
życie, który ustawicznie o tym my-
ślał jakby mnie był mógł uszczęśliwić w
mym życiu.... Ah choćbym poszedł
na

na koniec świata, wszędzie tam z sobą
zaniósł to serce które mnie strofować
będzie o moję zbrodnię: które mi wy-
rzucić będzie na oczy: iak wielkie to
jest złe ktorem dziś popełnił.... O
złośliwa Kobieto.... mogłżem się spo-
dziwać żeby do tak okrutnego końca
zafzła moja miłość!... Ah! już się
stało....

SCENA VIII.

KAROL, PLACYLLA.

PLACYLLA.

Teraz widzę żeś mi wierny w przy-
sięgach.

KAROL

(na stronie.)

Ah zdrajczyni!

PLACYLLA.

Muszę cię uściśkać za twoję pun-
ktualność.... prawdziwie potym by-
ła

ła niespokojna, pokim się nie dowiedziała żeś to wykonał coś przyrzekł.

KAROL

(*na stronie.*)

O bodaybym był wprzód sam zginął.
(*do Placylli.*) Patrz na moje pomie-
szanie wyczytaj z niego co się w mo-
im sercu dzieje.

PLACYLLA.

No, no!.. będzie się to serce teraz
miało lepiej, gdy go nie będzie miał
kto martwić... Pozbywszy się już
naszego przeciwnika, nie zostaje nam
kochanku: tylko iść zabrać jego skar-
by (*bierze go za rękę.*) No idźmy co
prędzej! uchodźmy tym czasem poki
przez przyjaciół nie zagadzi się wy-
konana twoja robota... idźmy!

KAROL

(*serio.*)
Stój!.. gdzie mię wabiłsz?

PLACYLLA.

Do Stryiowskiich skarbow.

KAROL.

Y więc chcesz żebym do zabójstwa
przy-

przyłączał łupieństwo? żebym iednego
występku dopędział drugim? żebym ta-
dował te ręce złotem ktorem zmazał
krwią?... ah szanuy krew iego, zli-
tuy się nad łzami memi... Ani mi już
wspominay o tym. (*placze.*)

PLACYLLA.

(*na stronie.*)

O zdrayca!... poczekay potrafię ia
się zemścić... musisz ty tego przy-
płacić życiem. (*ucieka.*)

KAROL.

Ah co czynisz!... (*zadumiony stoi
długo iak wryty.*)

SCENA IX.

KAROL

(*sam.*)

Cóż się prze Bóg dzieje.... ucieka
odemnie?... ah... o toż... y
pociągnionym w tak frogi występki
przez miłość y ukaranym za tenże
występki przez tęż samę miłość!...
o nie-

o nieba... o zdrado... coż zamy-
śla uczynić... Czy się moim okru-
cieństwem brzydzi?... aleć mię sama
przywiodła do niego... czy poszła
przeproszać Stryia?... ale wątpię że-
by miała tyle śmiałości!... nie, nie-
poumuję tego... ah czegoż dłużej
mam milczeć?... czego tać Autorkę
miej zbrodni?... wydam ją... opo-
wiem że to iey cała iest ta niegodziwa
roboła... niech, krwią swoją zpło-
cze ten występpek rozlanej krwi mo-
iego Stryia... Ale będeż to śmiał
uczynić?... będeż śmiał oślawiać tę
którą tak długo y tak mocno kochałem?
... nie pownieże!... nie uczynię tego.
... Taka zdrada nie zgadza się z cha-
rakterem poczciwego człeka!... iam
winien!... ia sam... Jam tego nie
powinien był czynić... Ja sam godzien
iestem kary!

SCE-

SCENA X.

KAROL. WIKTORIA.

(a potym.)

WESOŁOWSKI. CHWYTALSKI.
I ŻOŁNIERZE.

KAROL.

Ah cnotliwa Wiktoryo: co się dzieie
z Stryiaszkim?

WIKTORIA.

Opatrzono mu już ranę... y ufa-
wicznie pyta się o Wac Pana: kazał mi
nawet szukać Wac Pana.

KAROL.

(na stronie.)

Ah dobroć jego rani mi serce!

WIKTORIA.

On się bardzo boi żebyś W Pan z za-
lu nie zachorował.

KA-

KAROL.

(na stronie.)

Co za uprzejmość: czy wartżem
iey kiedy.

WIKTORYA.

Prawdziwie dziwno nam to wśzy-
fikim, kto to Jegomości tak zranił...
Pytałam go po kilka razy y prosiłam
mocno kto to zranił WP Dobr: ? nie-
szczęście (odpowiedział) Nieszczęs-
cie: A kiedy to mówił to zaraz doda-
wał: „Ah zmituy się! szukaycie ko-
„chanego synowca, bo się barzo boję
„o niego żeby się nie alterował.”
Prawdziwie, kiedy to mówił, to z twa-
rzy jego wyczytać można było iak Wc
Pana kocha.

KAROL

(na stronie.)

O cnoto!.. o łaskawości. (do Wikto-
ryi) Kochana Wiktorio.. ia to jestem.
.. ia ten oycobóycza... O nieba czemuż
nie ginę. (placze.)

WI-

WIKTORYA

(po długim zadumieniu załamuje
ręce.)

Co ia słyszę!

KAROL.

Iuż mi własne życie nie miłe, kie-
dy o tym myślę żem ie chciał odebrać
tak dobremu Stryiowi... gotowem
w świat uchodzić.

WESOŁOWSKI (wpada.)

A, a, a, Mci Dobrodzieju... zginę-
liśmy!

WIKTORYA.

Cóż się znowu stało?

KAROL.

Czy nie Stryiaszek mój kona.

WESOŁOWSKI.

Nie, nie! ale my podobno y bez
skonania prędzey niż on do szczęśli-
wey śmierci przyidziemy.

KAROL

Co Wac gadasz?

WESOŁOWSKI.

Ja to mówię com widział: Żołnierze

F

już

już pałac otoczyli podobno nas zaproszą do bezpieczniejszego mieszkania.

WIKTORYA.

Ah dla Boga. Ja pòydę dam znać o tym Jegomości: on na to nigdy nie pozwoli. (*wychodzi.*)

WESOŁOWSKI.

Zmiałuy się Wć Panna, pros! bo ja iak Boga kocham nie życzę sobie tego szczęścia, żebym siedział w kozie.

KAROL.

Ale któż ich tu zwołał.

WESOŁOWSKI.

Niewiem... to tylko wiem że tu po nas przyszli: ba oto już y idą.

CHWYTALSKI (*Wachmistrz.*)

Wć P. Dobr: podobno jesteś Pan Karol.

KAROL.

Tak jest.

CHWYTALSKI.

A ten Jmć pono P: Wesołowski.

WESOŁOWSKI.

Ja Dalibog sam niewiem iakie mpie nazwisko.

CHWY-

CHWYTALSKI.

Dofyć na tym żeś W. Pan jest wierny sługa Jmć (*do Karola.*) Mam ordynans wziąć Wć Pana Dobr: w areszt wraz y jego sługę.

KAROL.

Od kogoż jest ten Ordynans?

CHWYTALSKI.

Od Sądowej Zwierzchności.

WESOŁOWSKI.

Ale Mośpanie: Jegomość jest Pan tego domu: Wć Pan go z tąd brać nie możesz... Bezemnie też tu byłoby wielkie zamieszanie w domu: a za tym ja puyść z tąd nie mogę.

KAROL.

Milcz!... winien jestem: sprawiedliwie godzieniem kary: (*wchodzi w szrod Żołnierz.*)

CHWYTALSKI.

No kiedy Jegomość sam idzie: to sługi można poprosić: (*do Żołnierzy.*) weźcie go!

F 2

WE-

WESOŁOWSKI

Nie Mospanie : ja się nie dam upro-
 fić... Oy, oy, oy... MPanie Starosto,
 Dobrodzieju.

KONIEC

AKTU DRUGIEGO.



AKT

A K T III.

*Więzienie obszerne na boku mające
 małą komórkę z stolikiem y stołkiem..
 ławka w więzieniu.*

SCENA PIERWSZA:

KAROL (*zadumany na stołku siedzi.*)

WESOŁOWSKI (*okuty w kajdany.*)

WESOŁOWSKI (*na stronie.*)

DALIBÒ! cale mi się to niepodoba sie-
 dzenie!... ieśli ia się dłużej tą
 sedentaryą bawić będę, to barzo
 się boję żebym nie wpadł w melanco-
 lią..... ubrali mię w łańcuchy wigo
 diabli na co?... żeby aby w karty z
 kim było zagrać!..ale to nic... ni mo-
 wić z kim, ni zabawić się czym, fe...
 wszystko mi się tu nie podoba... (zaglą-
 da Panu w oczy.) Czy drzymie Pan?

KA-

KAROL.

Czego chcesz?

WESOŁOWSKI.

Oto, czyli Panu nie słabo... bo co mnie to coś nudno, podobno się to tym miejscem dzieje.

KAROL.

Mnie zaś to miejsce jest Szkołą rozumu.

WESOŁOWSKI.

Ja zaś który nie chcę być bardzo uczonym,cale nie mam gustu w tej Szkole..... Ale czemuż to Pan płacz?

KAROL.

Mój Wesołowski: zostaw mię samego.... niech się trochę myślami zabawię... *(zastania chustką oczy.)*

WESOŁOWSKI

(odchodząc na stronę.)

Było to lepiej przed tym myśleć nie bylibyśmy tu obydwaj siedzieli, *(ślady na ławce.)* Ja choćbym chciał myśleć, to nie wiedzieć o czym?... no, trzeba drzymać albo co...

KA-

KAROL.

O nieszczęsne zapędy młodości... jak wy prędko wyuczacie występku skoro się was nie trzyma na wodzy!... Dopuszczać wam tylko brać gorę nad sercem, wnet z nayrozumniejszego wyrabiacie niecnoty straszidło.

WESOŁOWSKI.

(wstaje przysłuchując się)

Coś tam mój Pan nakłótał kazania prawi... Muszę się mu przysłuchać.

KAROL.

Na coż mi się przydała moja naturalna do dobrego skłonność! moja edukacya? mój rozum?... Wszystko to zniweczone zostało!... wolne życie wprawiło mię wrozwiązłość aż na koniec pod mocą pasji ustały filty rozumu.

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Coś on nie od rzeczy gada!... lepiej widzę poznać się w więzieniu a niżeli w zwierciadle.

KA-

KAROL.

Ah kochany Stryiu! jak to jest wielką prawdą coś mi ty po tyle razy powtarzał... Utopienie się moje w tej która ma serce złośliwe, zrobiło mnie tak złym i jakim się dziś widzę.... Nie masz widzieć na młode serca szkodliwszej zarazy jak złośliwa Amantka!

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Oy pewnie że... Ona wnet człowieka wykrzesze, że się zrobi łotrzyk.

KAROL.

Nie byłoż mnie iść za radą Stryio-wską, a serce moje oddać Wiktorii?... Jej cnota byłaby mi Nauczycielką do unikania występku: a jej piękność byłaby mi ośłodą życia.

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Prawda! bo to ślodziuchne stworzenie...

KAROL.

Nie znałbym był tej zbrodni za którą kary oczekuję dzisiaj Lecz już to

to nie wczas żałować tego co się nie naprawi Z moją szkodą tyśnacnemu z młodych będę przykładem, że przestrogi tych co nam dobrze życzą godne są szacunku naszego.

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

He he he!... A przedtym gniewało się o nie ?...

KAROL.

Czy miałem ja rozum przyśięgać że ułożone tak brzydkie zabójstwo wykonam?... Ha! Zślepienie moje teraz dopiero poznaię.... Dość zle y nieuważniem zrobił, żem tak niegodną przyśięgę uczynił: ale jeszcze gorzej żem ją w skutku wykonał..

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Mądry Polak po szkodzie!

KAROL.

Gdyby aby nie szkodziła ta rana życiu Stryiowskiemu!... ale choćby y nie szkodziła ... czyliż nie dość winy żem mu ją śmiał zadać.... O oycze kochany!...

SCE-

S C E N A II.

KAROL, WESOŁOWSKI,
CHWYTALSKI.

CHWYTALSKI.

(do Karola)

Czy nie potrzebuiesz WP Dobrych usług?.. Bo ordynas mam we wszystkim wygodzić czego Panu trzeba.

KAROL.

Nie mój Przyjacielu! nie nie potrzebuję!... Chyba, jeśli to być może, proszę tylko o papier, kałamarz, y pióro.

CHWYTALSKI

Będzie to wszystko zaraz (chce odchodzić)

WESOŁOWSKI.

Hey hey! Mos Panie: a mnie żebyś WP. kazał przynieść dzban miodu, on by mi się bardzo przydał na rozweselenie serca.

KA-

KAROL.

A z kądże wezmiesz pieniędzy?

WESOŁOWSKI.

Oho ho! mam ja tu zawsze woreczek od złej przygody... Bo ja flużąc u Pana zawszem się tego spodziewał że kiedyż tedyż za nasze sprawy będę miał honor rezydować w kozie!... Y widzę że wyprorokowałem to sobie.

CHWYTALSKI.

Jako widzę umiesz W Pan oglądać się na przyszłą czasę.

KAROL.

(na stronie)

O gdybym ja był oglądał się na mój nieszczęsny koniec.

CHWYTALSKI.

(biorąc pieniądze)

Ah! obydwaj będziemy mieli co pić.

(Odchodzi)

WESOŁOWSKI.

Ot się Pan przejdź trochę: bo tak siedzieć to Pan może zachoruje.

KA-

KAROL.

Jakbym ia rad wiedział co się z moim Stryiem dzieje!...

WESOŁOWSKI.

Ja o tym nie wiele myślę co się z nim dzieje: ale o tym mocno co się z nami dziać będzie?

KAROL.

Śluszniem być ukarany powinien!

WESOŁOWSKI.

A mnie się tak nie zdaje.

KAROL.

O Placyllo!... o Placyllo...

WESOŁOWSKI.

Mci Dobrodzieju... Nas więżą a Placylli nic?... A wszakci to ona naysłuszniejsza.

KAROL.

(żwawo)

Jako to śmiesz mówić?... czyliż ona była z nami na naszej niegodney zadadce?... Za co chcesz obwinić tę do ktorey honoru brania nie masz żadnego prawa...

WE-

WESOŁOWSKI.

Nie biorę iey honoru, nie Mci Dobr... Przepraszam za to com wymowił z prędkości... ale jednak gdyby mię u Sądu spytali, ja nie wiem cobyem odpowiedział.

KAROL.

Nic nad to, co wiesz... widziałeś że ja zabijałem Stryia: ale nie widziałeś tam Placylli: to dosyć.

WESOŁOWSKI

(na stronie)

Zczarowała go ta baba!... dla niey w padł w tę biedę y przecież uymuie się za nią.

S C E N A III.

KAROL, WESOŁOWSKI,
KUBANSKI, (Juryſta).

KUBANSKI.

Jeſtem tu przyſłany od zwierzchności Sądowey abym bronił ſtrony WP:
Dobr:

Dobr: Supplikuję tedy o jak naydokładnieyszą informacją *totius causae* abym *Synoptyce* wynotowawszy tu wszystko mógł potym *fusus ad placitum docere* Sędziow, gdy ta *Criminalis Causa in ple: no judicio* drabowana będzie.

WESOŁOWSKI.

Co, co Mci Dobrodzieju? Placylla zrabowana będzie? Słusznie, bo ona naywinnieysza!

KAROL.

Ah co waść gadałz, nie mięszay się w to czego nie rozumiesz (do Kubanńskiego) Moy Mości Panie!.. Darmo mię WPan chćełz bronić, bo ia...

KUBANSKI.

Spodziewam się że nie darmo, bo nie wątpię iż z łaski Jego odbiorę iakie *ponderosum honorarium*.

KAROL.

Ah ia nie o tym mówię... Ja mówię że ia nie chcę być u Sądu broniony... Jestem winowayca trzeba więc na mnie sprawiedliyości użyć... (na stro-

stronie) Ah ty śląc śmierci godzienem za tak frogą zbrodnię!... (Placze)

KUBANSKI.

Ah pierwszy raz słyszę żeby sobie kto śmierci takiey życzył.

WESOŁOWSKI.

(do Kubanńskiego po cichu)

Oy! ale ia życzę sobie żyć! broń mię tam WP Dobr: mocno: ja też gdzie w przygodzie może WPana obronię.

KUBANSKI.

(do Wesołowskiego)

Ale Mos Panie, do Prawa trzeba pienieędzy...

WESOŁOWSKI.

A z kądże ich wziąć u kata, kiedy nie mam już tylko talar jeden.

KUBANSKI.

To go sobie schoway na śmiertelną koszulę. (do Karola) Jakże Mci Dobr: wcale Pan swoiey rezolucyi nie chce odmienić?

KAROL.

Nie... Miecze y Ogień... mniey i się zdają straszne niżli ten występ...

pek... Ah co to jest... podnieść rękę na Dobroczyńcę swego (pogląda na swą rękę zgniewem) O ręko godna słońsa! Ah... (placze)

KUBANSKI.

Ha kiedyś tak... to ja upadam do nożek WP Dobr... Ale życzyłbym się namyśleć... bo to nie są żarty...

WESOŁOWSKI.

(do Kubanśkiego po cichu)

Zmituy się Dobrodzieju... ja bez żartu mówię że ani miecza ani słońsa nie lubię... bo żelazo nazbyt zimne a ogień gorący... ale wiesz WPan co, jeżeli już nie będzie można inaczej, to wolę zgodzić się na jakieś sto kijów?

KUBANSKI.

Skoro Pan chce ginąć: *Complicitas fati* y ciebie godnym czyni śmierci. (Wychodzi)

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Fatki, fatki.... ja tego y nie rozumiem.... Fe... diabli to stworzyli ten

ten język Łaciński... On mi gada, że to czego ja nie znam: a tu idzie o moją głowę.... Ha najlepiej się to po Turcku sądzić... Powie y ta strona swoje y druga także, y koniec... A tu jak wezmą gadać owych słów co to się kończą na *rum, rum, rum*, to się здаie że w taraban biją, ieden chwali, drugi gani a obydwu czasem zrozumieć nie można.... Aha... witam kochanego Pana!... a co, jest *Miodbrum*.

SCENA IV.

KAROL. WESOŁOWSKI.
CHWYTALSKI.

CHWYTALSKI

(ze dzbanem.)

Jest, jest... (do Karola:) Otoż Mci Dobrodzieiu papier, kałamarnic y piora.

KAROL.

Ah dobrze!... a czy godzi mi się napisać billet do kogo?...

G

CHWY-

CHWYTALSKI.

Jeśli tu do Pałacu, to y ia sam zaniosę, bo totu zaraz w podłie nie daleko.

KAROL.

Nieskończoną ci będę miał obligacyą... No poczekayże tu moy Panie, ia nie bawiąc napiszę (*siada Karol przy stoliku w swojej komorze y zaczyna pisać.*)

WESOŁOWSKI

(*do Chwytalskiego.*)

Poddżmy tu sobie (*bierze dzban y wącha*) Ah nie źle pachnie! korzeny! Do ciebie przyiacielu (*pije z dzbaną*) Ha,... ażem się zachłystnął... Ja powiadam że największe pocieszenie utrapionych jest flaszka y dzbanek.....

CHWYTALSKI.

Takci to dawno mówią: na frasunek dobry trunek.

WESOŁOWSKI.

Na Dobrodzieju: różnij....

CHWYTALSKI (*pije.*)

Oy prawda że dobry miód!

WE-

WESOŁOWSKI.

Poczekay: day mi go... jam się jeszcze nie dobrał smaku. (*pije.*) Dali-bog dobry... jeszcze się posilę (*pije*) Hooo. Miłsza widzę z dzbanem iprawa, niżeli z Patronem.

CHWYTALSKI.

Z jakim Patronem?

WESOŁOWSKI.

Aa... był tu iakiś wywiedła figurka. ... iak zaczął gadać cienkorum, gruborum: *leptice, chaptice* aż na koniec iak widział że mu nic Pan nie dawał, a ia bardzo mało, tak wyszedł, mówiąc sobie coś tam pod nosem *fatki, fatki* a jam mu się też ani ukłonił.

CHWYTALSKI.

Aha, to to on pewnie chce z waszey strony stawać.

WESOŁOWSKI.

Niech fobie on stoi gdzie chce... ia kontent że my przy dzbanie siedziemy.... (*pije*) Ale mnie się wżysfko widzi że ia ciebie gdzieś znam?

G 2 CHWY-

CHWYTALSKI.

Może to być... możeś Wć Pan tu
iuz siedział.

WESOŁOWSKI.

Ale ja, gdzieś indziej cię znam...
Czyś ty tylko nie ów Chwytałski coś-
my to razem w Lublinie wycinali okna
na Krakowskiej ulicy...

CHWYTALSKI

(przypatrując się mocno.)

Prawda.... Ale... kogoż mam witac?...
Ja Wesołowskiego żadnego nieznałem.

WESOŁOWSKI.

Oo! iam się Wesołowskim dla tego
nazwał że Panu Wesołemu służyć....
Ale w Lublinie przed 10. lat znaiomy
ci był zapewne, twój wielki przyjaciel
Hilary Burdecki.

CHWYTALSKI:

Ho dla Boga! czego my z nim nie-
robili!...

WESOŁOWSKI.

To widzisz.... Otoż ten Pan Bur-
decki!.. przedzierzgnął się dzisiaj w
Wesołowskiego.... A ha?

CHWY-

CHWYTALSKI.

(ścisnął się.)

Ah przyjacielu!

KAROL,

(pisze.)

Ah jeżeli iey ten Bilet nie wzruszy.
.. To już chyba w niey ferce iest ka-
mienne! (pisze dalej.)

WESOŁOWSKI.

Miły Boże! Czybym ia się spodzie-
wał że się tu z tobą obaczę, a ieszcze
takim Prałatem w żelaznym łańcu-
chu.

CHWYTALSKI.

Ey nie frasuy się... może się to od-
mieni.

WESOŁOWSKI.

Day Boże... tylko boię się żeby te
łańcuchy nie odmieniły się na powrót.

CHWYTALSKI.

Oho ho,.. nie takieści ty tzczy ro-
bił... a przecie żyiesz: Bog nadzieia,
że ci y to uydzie na sucho.

WE-

WESOŁOWSKI.

Oy to prawda!..! że cośmy broili, tośmy broili!.. ty zostawszy żołnierzem musiałeś wszystkiego zaniechać, boby ci byli zapewne Mazurka zagrali a rozgami po plecach wybijali, takty... Ale nam u Dworu wszystko ujdzie.

KAROL

(*czytając swe pismo.*)

Ha!.. powinna już być godną nienawiści gdy mi do występku była powodem... Z tym wszystkim, ktoż to wie? może ją moja dobroć naprawi: y do uznania błędów swoich przywiedzie.
(*pisze dalej.*)

CHWYTALSKI.

Ale twój Pan iakiś widzę grzeczny człowiek?

WESOŁOWSKI.

Onby był jeszcze grzeczniejszy, gdyby się był nigdy nie kochał w Placylli... Ona go wiele złego nauczyła bo też y sama zła.

CHWY-

CHWYTALSKI.

Nawet coś slychać że go ona y do zaboystwa tego namówiła.

WESOŁOWSKI.

A do czegoż nie namówi kobieta, kiedy się ją kocha!... cnotliwa z niewielką pracą robi Amanta cnotliwym: a niecnotliwa ieszcze prędzey robi niecnotą.

KAROL

(*pisze do Stryia.*)

O cnotliwy Stryiu!.. czy wartzeby, żebyś mi miał moję zbrodnię odpuścić!...

WESOŁOWSKI.

Ten mój Pan jużby mógł tylą flakę ulać iak sam z tego złota, co wyexpenfował dla niej... Otoż mu się teraz wypłaca...

CHWYTALSKI.

Prawda że mu źle zapłaciła... Ona tu dała znać żeście wy Stryia zabili... Ona was wziąć kazła pod areszt.

WESOŁOWSKI.

Co?.. Ona... O nic dobrego...
Pójdę

Pójdę powim to Panu (*idzie do Pana*)
Mci Dobr: nie przeszkodzę Panu?

KAROL

Cóż chcesz mówić?

CHWYTALSKI

(*chwytając za rękę Wesołowskiego*)

Ah nie rób Wc Pan plotek,

WESOŁOWSKI.

A wie też Pan kto to nas tu wfa-
dził?

KAROL

Wiem... nasz występki.

WESOŁOWSKI.

Jeymc Dobrodzika Placylla... Ona
nam to ten honor zrobiła... patrz-
że Wc Pan Dobr: co to za zdrayczyna.

KAROL

Mnie to nieszczęście oświeca na ro-
zumie y przywodzi do uznawania
mych błędów: do zbrydzenia występ-
pków, do zakochania cnoty; owo zgo-
ła, zdaie mi się, że w tym więzieniu
nauczyłem się tego, czegom nigdy nie
umiał. Nie tylko więc nie gniewam
się

się o to na Placyllę, ale iey mam obli-
gacyą... Z tego iey postępku dochodzę
że nie masz nic stałego na świecie...
Naywiększa miłość może z czasem
obrócić się w nie nawiść... a nayści-
ślejsza przyjaźń zamienić się w dradę.
... Oto są moje uwagi, które są skut-
kiem mego tu siedzenia.

WESOŁOWSKI.

Ha, Pan Filozofuie, a mnie biada.

KAROL

Za moim Przykładem ucz się y ty
profitować z biedy... szczęście pręd-
ko zaślepia y pluie człowieka: nie-
szczęście oświeca rozum y naprawia
ferce.

CHWYTALSKI.

To prawda jak Ewangelia... ja sam
byłbym nie był tym czym jestem,
gdyby mię była bieda nie nauczyła ro-
zumu.

WESOŁOWSKI.

A ja nie pierwszy raz w biedzie, ie-
dnak nic nie umiem.

KA-

KAROL.

(do Chwytałskiego.)

Obiecałeś mi mój Panie zanieść te Bilety gdzie będą adresowane... Proszę cię oddać ten Placylli... a ten memu Strylowi... Ah gdyby się tam od Doktora dowiedzieć o jego zdrowiu... Gdyby także mogła mnie P. Wiktorya nawiedzić... wszakże tu wolno przyjsć do mnie komu się podoba?

CHWYTALSKI.

Wolno Mci Dobrodzieju, wolno... taki mam wyraźny Ordynans.

WESOŁOWSKI.

Kiedy tak, to niech też y mnie tu nawiedzi Magdusia.

CHWYTALSKI.

No poydę z temi Biletami Mci Dobry y wszystko podług rozkazu uczynię.

SCE-

S C E N A V.

KAROL. WESOŁOWSKI.

(a. potem)

Puls (DOKTOR.)

KAROL.

Prawdziwie... zdaje mi się, że się urodził na nowo!.. Nieszczęście moje szezęśliwym mię już czyni... poznaię szkaradność moiej zbrodni.. Dobroć Strylowskiego serca... sprawiedliwość ścigającą występki... Niebepieczenstwo ładaiakiey ze złemi przyiaźni... O.. czemużem tego przedtym nigdy nie chciał uważać? ... Ha!.. głowa nie była na ow czas nabita niczym, tylko myślami uganiającemi się za ucieszkami y krotofilami, nie było czasu tak myśleć.

WESOŁOWSKI.

Wierz mi WP Dobry: mnie to zadziwia.

wia .. z kąd się Pan nauczył tak prędko a tak dobrze myśleć? Bo Pan przed tym nieumiał tylko świstać y śpiewać.

KAROL.

Z kądem się nauczył?.. z tego więzienia w którym y ty jesteś.

WESOŁOWSKI.

A czemuż y ia tak nie uniem myśleć?

KAROL.

Umiałbyś gdybyś chciał ... samo za-
stanowienie się nad tą przysięgą, któ-
rąś mi uczynił: dałoby ci okazyą my-
ślenia, co to jest za niegodziwość
sprzyśiegać się na czyie życie; a do-
pieroż na życie Pana y ieszcze tak do-
brego Pana ... Widziałbyś w tey uwa-
dze złość twej przysięgi, Święto-
kradztwo w czynieniu oney, a bezbo-
żność w wykonaniu jej ... Y tak o in-
nych rzeczach mówiąc: poznałbyś się
tu bardzo dobrze na sobie, gdybyś się
tylko uwagą zastanowił nad sobą.

WESOŁOWSKI.

Oho ho! boję się żebym się sam so-
bą

bą nie zbrzydził gdy bym się na sobie
poznał.

(Puls DOKTOR. wchodzi)

WESOŁOWSKI.

Ah! J. Pan Puls przyszedł.

KAROL.

Witam J. Pana Doktora.

PULS.

*Umilissimo servo ... Bacio le mani a
Vostra Signoria.*

WESOŁOWSKI.

To pewnie już P. Starosta umarł: a
W Pan przyszedłeś po pieniądze.

KAROL.

Jakże się ma Strylaszek.

PULS.

Ze wszystkich symptomatow jak
naysciśley przezemnie examinowa-
nych ieszcze nic złego o nim trzymać
nie trzeba ... Zdrowie iednak jego ma
się nie naygorzey. y iak mówią po na-
szemu *Così, così.*

WESOŁOWSKI.

Co, co, co, y jego do kozy?

KA-

KAROL.

Ah nie przerywajże! (do Doktora)
Coż przecie sądzisz WPan o jego ży-
ciu?

PULS.

A.. ma apétit, otwartość żołądka,
fen ... wszystko to każe obiecować mu
zdrowie.

KAROL.

(na stronie

Ah ... to przynajmniej umniejsza
mojej zgryzoty.

PULS.

Ale WPDobr: alteracya czy w nim
nie wzruszyła szkodliwych Humorow
(chce go brać za rękę)

KAROL.

Ni, ni.

PULS.

Bo to czaſem *Materia peccans* zakra-
dnie ſię w żołądku: a potem za okazy-
ją w prawia w chorobę.

WESOŁOWSKI.

Oto mnie głowa boli Mos Panie Do-

ktor

ktor ... y w nogach mam drżenie iak
palpitacyą.

KAROL.

Mowiłem ci już, nie przerywaj nam
mowy.. (do Doktora) Mówieś mi
WPan że ſię nie trzeba bać o Stryo-
wskie życie.

PULS.

Mowiłem Mci Dobr: y mówię
zdrow będzie ſkoro ſię rana zleczy.

KAROL.

Badź łaskaw moy. Panie!.. utrzy-
muy to ſzacowne życie, nad ktore nic
droższego nie widzę już teraz, .. Nic
nieopuszczay z ſwoiey pilności ...
Wszakże ...

PULS.

Co tylko moja ſztuka umie, wſzy-
ſkich ſił użyję żebym go w krotce wy-
ſtawił zdrowiuteńkiego (kłania ſię)
Devotiſſimo ſervo (odchodzi)

WESOŁOWSKI.

Jak on weźmie tych ſztuk dokazo-

wać

wać na Panu Stryiu to on może y śmierć poćknie.

KAROL.

Ah moy bracie iakiś ty ieśt prędkie do obmawiania ludzi.

WESOŁOWSKI.

Ale bo ja już wiem co to umieją Doktory.

KAROL.

Jest to stan bardzo potrzebny Rodzajowi Ludzkiemu: bez nich lada słabość odbierałaby życie wielkiey części ludu... szczęśliwy kray gdzie ta nauka ieśt w sływie... Doktorom winniemy obronę od wielu zarazow ktore pustoszą wioski gdzie Lekarzow nie ma... Trzeba ich szanować.

WESOŁOWSKI.

No, no: To y ja JP. Pufa szanu. ię (*klania się: a potem na stronie*) Da-libog ten moy Pan wyidzie Filozofem z więzienia.... To dla mnie będzie honor żeśmy się razem w jedney tey szkole uczyli.

SCENE

SCENA VI.

KAROL, WESOŁOWSKI,
CHWYTALSKI,

(*a potem*)

MAGDUSIA.

CHWYTALSKI.

Wszystkom uczynił podług woli WPDobrodzieja.

KAROL.

A responu żadnego nie masz moy Panie?

CHWYTALSKI.

Nie mam: tylko mi odpowiedziano że Dziękuję WPanu za te listy.

KAROL.

(*na stronie*)

O ja nieszczęśliwy!.. Już widzę że y Stryi mnie nie nawidzi... y Placylla pogardza... Ah wart ieśtem być

H

znie-

znienawidzonym u całego świata. (*śladą w swojej komorze, zamysliwszy się*)

WESOŁOWSKI

(*do Chwytańskiego cicho*)

Podźmy my na bok, pogadamy z sobą ... Ale by się zdał dla nas jeszcze dzbanek miodu.

CHWYTALSKI.

Mniejszy o to, to Żołnierz przy-
nieś.

WESOŁOWSKI

Na, ostatniego talara ... Napijmy się (*Dać pieniądze z któremi Chwytański wychodzi dzban dać żołnierzowi zaraz powraca*) Widzę .. przyzwyczaj-
by się człek żyć tu ... y byłby Kon-
tent byle miał pieniądze! (*do Chwy-
tańskiego*) A coż z moją Magdusią wi-
działeś się przyjacieliu?

CHWYTALSKI.

Widziałem ... y obiecała być tu-
tay ... Ba oto już idzie.

WE-

WESOŁOWSKI.

Witam cię Magdusiu.

MAGDUSIA.

Gdzież Pan?

WESOŁOWSKI.

Alboż go nie widzisz? .. Oto sobie
duma.

MAGDUSIA.

(*list dając Karolowi*)

Pani moja przyśła ten repons na
list WPDobr:

KAROL.

(*odbierając list*)

Co ja, widzę! (*Czyta mięszając się
wszystek*)

WESOŁOWSKI.

(*do Magdusi*)

Przecież cię oglądam jeszcze moje
ferdenko.

MAGDUSIA.

Nie znamy się już teraz.

WESOŁOWSKI.

Jak to? ty mię nie znasz?

H 2

MA-

MAGDUSIA.

Powinłam nie znać... Być w przy-
jaźni z takim, iakim ty jesteś dzisiaj,
uczciwym osobom wcale nie przystoi.

WESOŁOWSKI.

Coż to ty : żartujesz ?

MAGDUSIA.

Nazbyt by to wiele było wdawać się
w żarty z takim co kaydanami brząka.

WESOŁOWSKI.

Alboż ia tych Dobrodziejow profit,
żeby mię w kaydany stroili...

MAGDUSIA.

No, no, proszę mi dać pokoy.

KAROL.

(na stronie)

Ah... Jeśli to sen, czyli rzecz na
iawie... Mamli temu wierzyć... że
Placylla czuje boleść nad tym co mię
trapi!... Ni, .. nie rozumiem ...
nie poymię tego ... *(czyta)*

WE-

WESOŁOWSKI.

Y jakże!... Już to się mnie wyrze-
każ na zawsze ?

MAGDUSIA.

Ah dayże mi pokoy mówię ci : ...
Ot lepiej myśl o śmierci nie o kom-
plementach.

WESOŁOWSKI.

(zmieszkał się.)

O śmierci.... A to widzę nie żarty.

KAROL.

(czyta.)

„ To co się z tobą zdaie wiedzie mię
„ do wyznania na siebie samę tego wy
„ stępkudo ktorego mię szalona nasza
„ miłość przywiodła „ O nie-
flichane rzeczy Coż z tego da-
ley będzie *(do Magdusi)* Ty
naylepiej wiesz zawsze co twoia Pa-
ni ułoży ... Powiedz mi co to ona
czynić zamysła odpowiedź mi
wszystko szczerze.

MA-

MAGDUSIA.

Cale się w tym przedemną kryje ...
Zamyślona cały czas ... nie nikomu
nie mówiąc wyiechała teraz z domu.

KAROL.

(na stronie)

Więc... chcę cię zgubić.... o Nie-
ba... co za zjadłość. (zamyśla się)

WESOŁOWSKI.

(do Magdusi)

Czyżes to słyszała że ja pòyde na
śmierć.

MAGDUSIA.

Nie inaczej!... (do Karola) Czy
mamże czekać?

KAROL.

Nie, już nic nie chcę mieć do czy-
nienia z twą Panią;.. (na stronie) O
zdrayczyna... coż iefzcze zamyśla
uczynić....

MAGDUSIA.

To ja upadam do nożek WP Dobr:

WE-

WESOŁOWSKI.

Ale moja Magdusi! niech cię aby
uściskam.

MAGDUSIA.

Boię się żebym nie uwięzła w kayda-
nach..... siedź, tu sobie póki cię nie
wyprowadzą gdzie indziej (wychodzi)

WESOŁOWSKI.

Idźże na złamanie szyi, kiedy nie
chcesz y gadać.... Opetana, .. wsty-
dzieć się ze mną mówić dla tego że ja
w kaydanach.. właśnie to dla pśow
zbudowana koza..... ale cię to je-
dnak obchodzi co mi ona powiedziała o
o śmierci.....

CHWYTALSKI.

Otoż y miod, przyiacielu....

WESOŁOWSKI.

(mija pianą)

Dobrze! dobrze! pijmy (spiewa so-
bie pod nosem) śmierć za pasem pijmy
tym czasem.....

SCE.

S C E N A VII.

KAROL, WESOŁOWSKI,
CHWYTALSKI, KUBANSKI,
WESOŁOWSKI.

(*obaczycieśz wchodzącego
Kubańskiego.*)

Oy, oy... czy już nie z dekretem
na śmierć ten Juresta przychodzi?

CHWYTALSKI.

Może y to być.

KUBANSKI.

(*do Karola*)

Przez samo przywiązanie ku Osobie
WPDobr: zawsze *Personaliter comparens*
sta wałem z strony jego... Bojąc się
żeby *in contumaciam* WPDobr: nie na-
stąpiła jaka szkodliwa *sententia*, gdybyś
się w Sądzie nie bronił *nec per se, nec*
per alium:... *alias* byłoby *Crimen semi*
plene

plene probatum... Bo trzeba o tym
wiedzieć że *formalitas Juris* exigít tego
zawsze, żeby...

KAROL.

Ah Mci Panie... ja nie chcę niczy-
iej obrony... jakem przewinił tak
podług sprawiedliwości powinienem
być karany. (*Zamyśla się*)

KUBANSKI.

(*na stronie*)

A iещczem też nie słyszał o takim
desperacie.

WESOŁOWSKI.

(*do Kubańskiego*)

A mnie czy tylko nie obwieszają?...
a ja Dalibog wcale nie mam nabożeń-
stwa do takich ramek... y szysia mię
boli, niewygodnie by mi było wisieć.

CHWYTALSKI.

Ah czego się moy bracie frasujesz?...
Dostyc będzie czasu myśleć o tym po-
tym kiedy Dekret usłyszysz.

WE-

WESOŁOWSKI.

Ba ba ba ba, szubienica to jest dla mnie
interesująca materya Ja się iey
okrutnie boię . . . y z natury iey nie
lubię.

KUBANSKI.

(do Karola)

Przynajmniej Mci Dobr: naucz mię
WP Dobr: co mam daley czynić y jak
ultra procedere in causa mota & vertente.

KAROL.

(z gniewem na stronic.)

Czy mi licho nadało tego importu-
na . . . gdybym miał przy sobie pienią-
dze iużbym mu się okupił ażeby mi dał
pokoy . . .

WESOŁOWSKI.

(do Kuban'skiego.)

Moy Dobrodzieiu łaskawy . . o Pana
fraszka! iemu może nic nie będzie:
bo Panom wszystko uchodzi . . . ale ja
chudy pacholek w wielkim iestem stra-
chu bo taki zawsze przegra który nie
ma za co najać Patrona.

KU-

KUBANSKI.

(do Karola)

Niechże choć słowo od Pana Dobr:
usłyszę: bo prawdziwie mam szczerą
intencją o Honor Jego *dicendi, scriben-*
di, agendi, defendendi . . .

WESOŁOWSKI.

Co tu tego dendi, dendi.

KAROL.

(wgniewie)

Mos Panie proszę WPana zostawić
mię już w pokoju . . . Nie trzeba żebyś
WPan swoją wymową mamił oczy Se-
dziow . . . niech oni ze mną czynią
co im sprawiedliwość radzi.

KUBANSKI.

Ha kiedy tak . . . to aby moja *bona*
intentio stat pro facto będzie to dla mnie
wczasie *legitimus titulus honorarij.* (wy-
chodzi)

WE-

WESOŁOWSKI.

(do Kubańskiego)

A mnie nie Wpan nie powiesz?...
to zły znak... zapewne będę wisił.

CHWYTALSKI

O! lepiejbys pił miód.

KAROL.

(na stronie)

Podła dusza!... sam się w prasza z
z swoją gębą do nacięcia y gotów prze-
ciw oczywistej prawdzie mówić byle
od strony co dostać. *(siada y zamyśla
się.)*

WESOŁOWSKI.

(do Chwytańskiego)

Prawdziwie gardło mię boli, .. już
nie mogę dobrze połykać...

KAROL.

(na stronie)

O! w jakimże uczuku zostałe me ser-
ce... Niegodna kochanko okrutna Pla-
cylló!... Ha dobrze mi tak... Cze-
mum nie szedł za rada Stryjowska?...
czemu nie kochałem Wiktoryi...

WE-

WESOŁOWSKI.

Nie wiesz Bracie... teraz bardzo
poważne myśli zacząłem mieć w głó-
wie... Myślę o wielkiej wagi inte-
resie *(zamyśla się)*

CHWYTALSKI.

Oy! y Pan twój widzę cały zamy-
ślony.

KAROL.

(na stronie)

Choćbym wyszedł na wolność iuż
nie wart jestem serca Wiktoryi...
przeto samo że jest arcywielka, zbrzy-
dziła mię sobie już zapewne, y wzgar-
dzi mię dla mego niefortunku.

WESOŁOWSKI.

Słuchajno: moy Chwytańsiu- wszak
ty wiesz żeś my my sobie byli przy-
iaciele zawsze.

CHWYTALSKI.

Wiem.

WE-

WESOŁOWSKI.

Pamiętasz żeśmy się serdecznie kochali jak bracia.

CHWYTALSKI.

Pamiętam.

WESOŁOWSKI.

Nie zapomniawsz zapewne jak wiele ja ci dobrego świadczył we Lwowie, w Lublinie &c. &c. &c.

CHWYTALSKI.

Nie zapomniałem.

WESOŁOWSKI.

Przypominasz sobie zapewne żeś cię w tylu okazjach od guza obronił.

CHWYTALSKI.

Przypominam.

WESOŁOWSKI.

Moy kochanku!... Uczyniże mi teraz iedną łaskę o którą cię będę prosił.

CHWYTALSKI.

Ale jeśli ja tylko mogę uczynić.

WESOŁOWSKI.

O możesz! y jak możesz: ale mi przyśięgnij że uczynisz.

CHWY-

CHWYTALSKI.

No... no, uczynię.

WESOŁOWSKI.

Na honor, na pościwość, ... uczynisz.

CHWYTALSKI.

Ale już powiedziałem: uczynię.

WESOŁOWSKI.

No daj rękę... Oto wieszże co... To jest mała rzecz... Jeśli Dekret padnie żeby mię mię obwieścić... Pódz ty zamnie na szubienicę.

CHWYTALSKI.

Opętany...

WESOŁOWSKI.

Moy kochany!... Bo ja Młodszy niż ty, szkodaby mię!... a do tego że w sobie powołania do takiej śmierci nie czuję.

S C E N A VIII.

KAROL. WESOŁOWSKI.

CHWYTALSSKI. WIKTORYA.

WIKTORYA

(Za parawanami, niby do Żołnierzy
stojących przy więzieniu.)

Puście mię koniecznie!

CHWYTALSKI.

Puszczajcież!

WESOŁOWSKI.

O dla Boga! a to co! (drży.)

WIKTORYA.

(biegąc prędko pada na barki
Karola.)

Ah... ah... miły Karolu...

KAROL.

Cóż się stało?... przebóg...

WE-

WESOŁOWSKI

To już y po nas... Ehe Panie We-
sołowski, nie konając umrzesz.

WIKTORYA.

O Nieba... (biega załamawszy rę-
ce.)

KAROL.

Ale mówże co jest?... kochana Wikto-
ryo... czy się o mnie boisz... jam
zaśluzyl na śmierć... znam to... Ale
czy wartżem twego affektu żebyś tak
ubolewała nademną...

WIKTORYA.

(znowu rzucając się nań.)

Wart jesteś... wart... Ah już po
wszystkim.

WESOŁOWSKI.

W momencie wytrzyźwiał że
strachu... Ah ah ah (drży.)

KAROL.

Niechże się przynajmniej do-
wiem!

WIKTORYA.

Placylla... Placylla taż sama, która
I ci

ci była podnieta do zbrodni czuie jednak żal nad tobą y ze złami u nóg Stryiowskich leży... A ja nie mam boleć?...

WESOŁOWSKI.

Oy.. oy... oy... oy... oy...

KAROL.

Iakże zaś: to już dekret śmierci ferowany jest na mnie.... Ah powiedzże mi!

WIKTORYA.

Zacny człowiek iakiś z przyjaciół twego Stryia: przyechawszy oddał w ręce jego duży iakiś z wielką pieczęcią papier: długo potym po cichu mówili aż nakoniec wpadła do pokoju Placylla y ze złami rzuciwszy się do nóg Stryiowskich mówić coś zaczęła...

KAROL.

Coż przecie mówiła?

WIKTORYA.

Te tylko słowa usłyszałam „Odpuść.... Y zarazem wybiegła z pokoju spiesząc się do ciebie.

KA-

KAROL.

Cuotliwą Wiktoryo! dobroć twdia zawsztydza mię..... Śmierć nie trwoży mię bynajmniey... Trzeba, żebym ginął za to żem chciał zgubić dobrego Pana.

WIKTORYA.

Ni... pòyde... rzucę się do nóg Stryiowskich... ani się ich puszczę aż cię z nim pojednam. (odchodzi raptem.)

KAROL

O... co za nawałność zgryzot.

WESOŁOWSKI.

Mospanie, nigdy się niespodziewałem żeby się tak prędko uwijali koło nas.

CHWYTALSKI.

(zawołany po cichu od Żołnierza, wychodzi.)

Zaraz ia tu powróc.

WESOŁOWSKI.

Otoż już nas widze y poprowadzą.

I 2

pada

(pada do nóg Panu) Ah Mospanie powiedź Wć Pan że ia niewinny Za còż ja mam ginąć żem stał w Masce na warcie kiedy Pan zabijał.

KAROL.

A wszakże też tu o tobie ani było wzmianki.

WESOŁOWSKI.

Alboż mię to y bez wzmianki niepotrafią obwieścić.... Cięższa to sprawa Mospanie z ludzmi, niżli z Panem Bogiem.

KAROL.

Nie trzeba iednak rozumieć o Sędziach żeby byli nie sprawiedliwi... Może się trafić nie sumnienny ieden, ale nie trzeba mniemać, że już tacy wszyscy... We wszystkich Stanach y źli y dobrzy pomieszani bywają: wi-
dziemy iednak sprawiedliwych y po-
czciwych wielu.

WE-

WESOŁOWSKI.

Ale Mci Dobrodzieju: . ja się barzo boję.

KAROL.

Jeżeliś niewinny nie masz się czego bać... Pod łaskawym Monarchą Sprawiedliwość Sędziow nigdy od łaskawości odłączać się nie zwykła.... Doznali tego y doznają wielu.

CHWYTALSKI.

(z Żołnierzmi.)

Mci Dobrodzieju: mam ordynans prosić go do przygotowaney karety... Stoi już przed wschodami, trzeba za-
tym wsiadać.

KAROL.

Czy zaraz?.. (na stronie) Ha...
Trzebe iść... (do Chwytałskiego) a z-
nimże co będzie?

WESOŁOWSKI.

Ja tu zaczekam na Pana choćby iak
naydłużey: może mnie tam nie trze-
ba.

CHWY-

CHWYTALSKI.

(do Żołnierzy.)

Rozkuycie go.

KAROL.

(na stronie)

Dokąd to ta będzie podróż?.. Ha-
nie chcę już głębiej w te myśli zacho-
dzić.

WESOŁOWSKI.

A jakże?.. odprowadzicie mię tu
nazad?

CHWYTALSKI.

Idźmy. (Wychodzą wszyscy.)

S C E N A

S C E N A IX.

Pokój piękny z kanapą y kilką krzesłami

DOBRZECKI (na kanapie.)

PLACYLLA (u nog Dobrzeckiego.)

WIKTORIA (ocierająca oczy swc.)

MAGDUSIA DOBRZECKI

(ręką jedną podnosząc
Placyllę.)

Podnieś się W. Pani... bądź dobrej
myśli.

PLACYLLA.

(podnosząc się.)

Ale mogę być pewna, że już prze-
błagała Wć Pana Dobr:... Że mi od-
puścisz z serca tę moję winę za któ-
rą go przepraszam.

DO-

DOBRZECKI.

Podłych to dufz zabawka, mścić się:
a cnotliwych zafszczyt odpuszczając...

PLACYLLA.

To mi też było nadzieją otrzymania
łaski: że cię znam być Panem pełnym
łaskawości y dobroci serca.

WIKTORYA.

Niewinniem zątrwożyła Pana Karo-
ła: jam rozumiąta, że ten Jegomość,
co tu był, oddał dekret śmierci, a że
Jeymość o Pardon dla Pana Karola pro-
fi y pobiegłszy do niego powiedziałam
mu to z płaczem.

DOBRZECKI.

Sam prosiłem Sędziow aby był wol-
nym y iest: żyć będzie dla ciebie.

MAGDUSIA

(na stronie.)

Wątpię żeby się to mojej podobało
Pani.

PLA-

PLACYLLA.

(do Wiktoryi.)

Szczęśliwszym być nie może iak
gdy otrzyma tak cnotliwą żonę: (na
stronie.) Ah! jam go złym zrobiła.

S C E N A X.

Ciż sami.

KAROL. WESOŁOWSKI.

DOBRZECKI.

Podź kochany Synowcze... przybliż-
się... niech cię ucałuję.

KAROL.

(pada do nóg.)

O. Oycze...

WESOŁOWSKI

(klęka.)

Panie y Dobrodzieju,

PLA-

PLACYLLA.

(na stronie)

Oto niewinna Ofiara mojej przewrotności.

WIKTORJA.

Ah! z radości serce mi się rozplywa.

MAGDUSIA.

Niebożatko!.. aż wybladł.

DOBRZECKI.

To co się stało... bardziej cię politowania godnym, niżli winnym czyni... Mimo wiadomość moją nastąpił twój Areszt.

PLACYLLA.

Jam temu winna... ja.

DOBRZECKI.

Gdy teraz wolnym się już być widzisz...

WESOŁOWSKI.

(na stronie)

Chwała Bogu.

DO-

DOBRZECKI.

Czy mogę się spodziewać twojej poprawy?

KAROL.

Ah... na tę samą dobroć twoją przyśięgam... Takim chcę już być i jakim ty mnie mieć chcesz.

WIKTORJA.

Wszakci P. Karol zawsze miał grunt serca dobry.

PLACYLLA.

Jam go trochę nadpsuła... Lecz już od tąd nie myślę.

WESOŁOWSKI.

O.. Jegomość teraz ze wszystkim inszy (do Magdusi.) Y ja inszy: już ja teraz pół Filozofa..

MAGDUSIA.

Day go katu... Więc ci już mnie nie trzeba bo Filozofowie nie zwykli się teraz żenić.

WE-

WESOŁOWSKI.

Ale ja też tylko pół Filozofa.

DOBRZECKI.

(dając papiery)

Na kochany Synowcze dowód u-
przeymoſci moiej Tyś moje ra-
dy miał w podeyrzeniu. ja zaś nic
więcej nie ſzukałem tylko twego do-
bra ... kiedy ci więc oddaję w ręce
dzisiaj Fortunę twoją y moją: czy
wierzyszże że cię ſzczerze kocham?

K A R O L.

O! nieba... o! cnoto... Ah Pa-
nie mógłbym ſię być ſpodziewać te-
go zbytku łaſkawoſci twoiej Nie
kochany oycze, nie ... Doſyc mi bę-
dzie ieżeli z twą pomocą rękę Wikto-
ryi otrzymam: tyś iej ferce uprawił
ſwą cnotą: ta mi będzie największym
skarbem.

WE-

WESOŁOWSKI.

(na ſtronie)

Co to po tych ſzkrapułach: nie brać
zaś fortuny gdy ſama lezie do ręki.

DOBRZECKI.

(do Placylli)

WPani oſwiadczenie ſię, czyni mi
nadzieję że już żyć zaczniesz ſpokoy-
nie ... chcę y tobie dać dowody przy-
chyłnoſci moiej Oto maſz zapis
wolno ci tej cząſtki ktorej ci uſtępuję
zażyć jakci ſię podoba ... Nie wątpię
że podług obietnicy zechceſz iej za-
żyć na dobre ...

PLACYLLA.

Co zaś? ieſtże to podobna ... procz
łaſki odpuszczenia chceſz mi WPan ie-
ſzcze wyſwiadczać łaſkę ſzczodrobl-
woſci ſwoiej ... ni nieznioſę tego na
ſobie

DO-

DOBRZECKI.

Proszę cię moja! Pani... niech mi będzie wolno uczynić to ukontentowanie sercu memu... żebym ci dobrze uczynił...

PLACYLLA.

Ale ja tyle na przeciw W Panu uczyniłam złego.

DOBRZECKI.

O tym już zapomniałem... a spodziewam się że już od tąd nie myślisz mi nic złego.

PLACYLLA.

Ah to łaskawość aż do podziwiania.

WESOŁOWSKI.

(na stronie.)

Trzebaby być kamieniem, żeby taka dobroć nie wzruszyła iakiey ten Pan pełny.

MAGDUSIA!

(do Placylli)

Nie upieray się WPDobr: Fortuna zawsze potrzebna,

DO

DOBRZECKI.

(na stronie)

Ah iakżem kontent... że mogę dobrze komu uczynić.

WIKTORYA.

(na stronie)

Prawdziwie zadziwiać się trzeba nad tak wielką cnotą.

KAROL.

Ja na to przystać nie mogę żebym miał być Panem WPDobr: Fortuny... rządź y nią y mną: pod twym słodkim rządem miło mi będzie zostawać.

DOBRZECKI.

Ni kochany Synowcze... Wikto-
yo.. Przyśtać bliżey... Oto iest ten
ktorym cię cnota y miłość łączyć po-
winna nierozdzielny węzeł...
Placylla nam przyiaciolką: Wy sobie
Ważonkami: Dom ten mieszka-
niem, a dobroć wasza moiey starości
obciechą niech będzie.

KA-

KAROL.

(Uchylając się przed Dobrzeckim.)

O! co za łaskowość! co za dobroć...
 prawdziwie podbijasz nas sobie... y ten
 tryumf łaskowości twojej który dziś
 odnosisz na sercami naszymi wymu-
 szają nas abyśmy ci z wdzięczności
 życzyli... żyj! żyj Łaskawy Panie!

WSZYSCY.

Żyj Łaskawy Panie.

KONIEC

KOMEDY I.



G. R. BIBLIOTHECA
 VNIV.
 ORACIUM

